

Prenumerata kosztuje:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 2 Rbs. Półrocznie 8 kor. 8 Mrk. — 4 Rbs. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 8 Rbs.



Wychodzi każdej soboty.
REDAKCYA I ADMINISTRACYA, KRAKOW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.
Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Numer pojedynczy kosztuje 16 centów (32 halerzy).

Rok II. Kraków, 9 września 1905 r. Nr. 37.

Krwawe swaty.

(Do artykułu na stronie 2).

Numer ten zawiera 24 stronic druku.

Krwawe swaty.

(Do illustracyi tytułowej).

Dziwną doprawdy bywa naiwność dziewcząt z niższej klasy, zwłaszcza zaś z klasy służącej. Istoty te zazwyczaj o bardzo niskim stopniu inteligencyi, pozbawione tem samem wszelkiego zmysłu krytycznego, lecą jak muchy na lep w sidła różnych wydrwigroszów obiecujących im małżeństwo, oddają z chęcią ostatni krwawo zapracowany grosz w płonnej nadziei, że ukochany ustaliwszy sobie za jej pieniądze byt i niezależność — poprowadzi ją do upragnionego ołtarza i wyrwie z piekła poniżenia i pogardy, piekła, jakiem istotnie bywa zazwyczaj prywatna służba. Biedne, obałomucone istoty, u których pragnienie swobody i niezależności silniejszem bywa niż głos rozsądku, niż pamięć strasznych przykładów, w jakie obfitują policyjne zapiski, gdzie ofiarą oszustów padały biedne dziewczęta! Dość wspomieć o krwawej pamięci mordercy dziewcząt służących – o potworze w ludzkiej postaci Hugu Schenku. Te przykłady nie odstraszają jednak zaślepionych dziewcząt — a świeżo zaszły straszny fakt we Wiedniu daje dostateczną miarę tego.

W stolicy naddunajskiej zajęty był przy elektrycznym tramwaju jako motorowy niejaki Jan Prügel, człowiek żonaty, obarczony do tego licznem potomstwem. W domu motorowego niedostatek i bieda były stałymi gośćmi, a skromne dochody ojca nie wystarczały na utrzymanie licznej rodziny. Taki był stan rzeczy, kiedy Jan Prügel zawiązał przypadkowo miłosny stosunek z pewną służącą, niejaką Bertą Böhm. Stosunek ten pociągnął za sobą naturalne następstwa i dnia jednego dowiedział się Prügel z ust swej kochanki o smutnej prawdzie, że niedługo zostanie matką. Berta wyjechała do swych rodziców na Szląsk, a Jan, który stale podawał się jej za kawalera napisał do niej, że zamyśla wydzierżawić mleczarnię, do czego niezbędne mu jest 100 koron. Następnie zaś zamierza ukochaną poślubić. Na radosną tę wieść pospieszyła Berta do Wiednia, nie przeczuwając, że stanie się tu ofiarą krwawego dramatu. Kochanek oczekiwał ją na dworcu i wprowadził pod swój dach przedstawiając przybyłej żonę swoją — jako siostrę. Rzekoma siostra wydaliła się niebawem z domu. Wtedy Prügel pochwycił za siekierę i zadał kilka ciosów w głowę swej kochance. Czy ręka zbrodniarza zadrżała, czy uderzenia nie były dość silne — niewiadomo. Dziewczyna krwawiąc podłogę upadła, ale żyła jeszcze!.. Zezwierzęcony człowiek rzucił się na swoją ofiarę i własnemi rękoma dodusił nieszczęśliwą. Dla zatarcia śladów niecnego czynu zawinął trupa zamordowanej w siennik i tej samej nocy wyniósł go do parku w Schönbrunnie i ukrył w zaroślach. Trupa znaleźli przechodnie na drugi dzień. Energicznie przeprowadzone śledztwo wydało nadspodziewane rezultaty: Prügel został zaaresztawany we wozie tramwajowym, gdy nie spodziewając się niczego złego za jęty był przy motorze. W śledztwie przyznał się otwarcie do zbrodni, nadmieniając, że zabił swą ofiarę w porozumieniu i przy pomocy swej żony. Prüglową dla braku dowodów i poszlak wypuszczono — mąż jej znajduje się w inkwizycie sądu karnego, gdzie niedługo będzie zapewne czekał na przykładną karę. Morderstwo popełnione zostało w celu grabieży. Zbrodniarz jednak doznał zawodu, gdyż zamiast spodziewanych 100 koron znalazł przy zabitej tylko 34.

Rycina nasza przedstawia straszną scenę, gdy Prügel pozostawszy sam na sam w domu z swą kochanką — pozbawia ją życia, zadając cios po ciosie siekierą.

Wstrząsająca tragedya miłosna.

Uczucie miłości, tak szczytne zazwyczaj i piękne, staje się niejednokrotnie powodem nieszczęść i okropnych tragedyj. Właściwą przyczyną nie jest jednak miłość prawdziwa, lecz samolubstwo, zawiść lub zazdrość. Nieraz słyszeliśmy o strasznych zabójstwach z miłości, prawie zawsze jednak spowodowane są one uczuciem niższem, egoizmem czy zazdrością. Podobne uczucia wywarły w poniżej opisanej tragedyi decydującej wpływ.

Bohater tragedyi, postenführer żandarmeryi z Dolin, Józef Zajączkowski, kochał się od dłuższego czasu w pokojówce ze Lwowa Katarzynie Mazurkiewicz. Stosunek miłosny przybierał coraz poważniejsze rozmiary, zwłaszcza, że młoda Katarzyna odwzajemniała się Zajączkowskiemu za jego gorącą miłość. Wzajemność ta uprawniała Zajączkowskiego, zdaniem jego, do ciągłego czuwania nad swoją kochanką i pewnego rodzaju protektoratu, jaki rozciągnął na swą ofiarą. W ostatnich dniach przebywała jego kochanka we wsi Łówczy gdzie zamieszkała u gospodarza tamtejszego a swego bliskiego krewnego. Zajączkowski pospieszył wnet za nią i mimo nader krótkiego urlopu pozostał w Łówczy nieco dłużej. Nie mogąc swego urlopu, już i tak przedłużonego, przeciągać, starał się nakłonić Katarzynę do powrotu do Lwowa. Z niewiadomej przyczyny sprzeciwiła się temu jego kochanka, co dało powód do bardzo ożywionej sprzeczki. Na razie wszystko ucichło, burza zdawała się być zażegnaną, Katarzyna pozostała na noc u swego krewnego. Nad ranem, kiedy krewni jej udali się do roboty, skąd mieli powrócić wieczorem, posłyszano jakieś strzały, a bezpośrednio potem jęki i błagania o litość.

Skoro wyważono zaryglowane drzwi, oczom przybyłych wieśniaków przedstawił się w całej grozie dramat, który nimi wstrząsnął do głębi.

Na ławie leżała Katarzyna, brocząc krwią, koło niej Zajączkowski ciężko ranny. Do umierającego zawezwano pospiesznie księdza. Katarzyna trafiona kulą w serce, wyzionęła ducha na miejscu. Zajączkowskiemu nie grozi poważne niebezpieczeństwo.

Przybyły na miejsce wypadku porucznik żandarmeryi rozpoczął natychmiast surowe śledzwo. Pewne dane sprowadzają na przypuszczenie, że Zajączkowski znany służbista, bojąc się kary za przedłużenie urlopu, nadto rozdrażniony i zdenerwowany w najwyższym stopniu przejściem ze swoją kochanką, postanowił odebrać sobie życie. Kochanka prosiła go wówczas, by i ją zastrzelił, co też Zajączkowski nakłoniony do tego usilnemi prośbami, po dłuższem wahaniu uskutecznił, nie chcąc jej samej pozostawiać

W dzisiejszym numerze zamieszczamy rycinę, przedstawiającą chwilę, kiedy Zajączkowski strzeliwszy do swej kochanki, sam targnął się na swe życie.



Fot. E. Herbet. Drohobycz.
Zaćmienie słońca w dniu 30 sierpnia br.: Zaćmienie widziane i zdjęte w Drohobyczu o godz. 3 min. 25 popołudniu.



Wstrząsająca tragedya miłosna: Żandarm Zajączkowski pada obok trupa zamordowanej kochanki.

Zaćmienie słońca w dniu 30 sierpnia b. r.

Ze wszystkich może zjawisk przyrody najciekawszem jest zaćmienie słońca. Kula słoneczna, promieniejąca blaskami, naraz zaciemnia się, jakby przesłonięta jakąś dziwną tarczą. Starożytni bali się zaćmienia słońca, wyobrażali sobie bowiem, że zaćmienie jest walką dwóch duchów, ducha świa-

tła i ducha ciemności. Dzisiaj inaczej. Zaćmienie słońca jest dzisiaj zjawiskiem wytłómaczonem zupełnie i zrozumiałem i stanowi, dla świata naukowego zwłaszcza, przedmiot ciekawych badań.

W roku bieżącym zaćmienie słońca przypadło na dzień 30 sierpnia. Całkowicie widzialne było [illegible] w Hiszpanii. Pas zaćmieniowy, na którym zjawisko obserwować było można w pełni, ciągnął się od Kanady przez Ocean Atlantycki, północną Hiszpanię i Baleary do Algieru, stąd zaś dalej przez Egipt ku południowo-wschodniej Arabii. Pas, w którem zaćmienie było zupełnem, posiada w Hiszpanii szerokość 200 kilometrów.

Głównym przedmiotem spostrzeżeń astronomicznych podczas całkowitego zaćmienia słońca jest t. zw. korona, otaczająca dokoła tarczę słoneczną jakby aureolą.

Tego roku zaćmienie słońca widoczne było i w Galicyi. W Krakowie i Lwowie z powodu deszczu i gęstych chmur, jakiemi niebo było zasłane, obserwować go nie było można. Za to w miastach, leżących więcej na południu, było ono widoczne.

Zamieszczona obok rycina przedstawia zaćmienie słońca, zdjęte w Drohobyczu o godz. 3 minut 25 popołudniu.

POKÓJ.

(Treść na str. 15).





POWIEŚĆ
osnuta na tle ostatnich wypadków w Królestwie Polskiem

NAPISAŁ

JERZY SWOBODA.

15 (Ciąg dalszy).

Dojechawszy tam, wszedł do sali, w której mieścił się bufet. Prócz zaspanego gospodarza i garsona, były w sali cztery osoby, oczekujące kogoś. Wpadli podróżni, otoczyli ladę, wołając na różne tony: herbaty, wódki, piwa, przekąskę!...

Walczak, chcąc przygłuszyć innych, zawołał donośnie:

— Kawy białej!

— Nie mamy — odpowiedział bufetowy.

— Jakto, nie macie kawy białej?

— Nie!

I gdy tak stał w oczekiwaniu, zbliżyła się do niego młoda, w czarnej sukni kobieta i podając rękę:

— To pan Paweł... dopiero poznaję — uśmiechnęła się przyjaźnie.

— Bardzo mi przyjemnie — mówił zakłopotany.

— Może usiądziemy — szła w róg sali i zająwszy krzesło, szepnęła — na krześle pomiędzy nami.

Skinął głową i aby coś mówić:

— Pani dawno w Częstochowie?

— Mieszkam stale — a ciszej — dobrze, że są, upominają się... zostaw pan... idź pan do bufetu... i za chwilę wyjdź.

— Rozumiem.

Zręcznie położył paczkę, podszedł do bufetu i wkrótce siadł do wagonu.

— Tu poszło mi składnie... a Piotrków to głupstwo...

Oparłszy się o poduszki wagonu, rozmyślał o wczorajszym dniu i z kolei nasunął mu się obraz Heleny.

Czy też ona przejedzie szczęśliwie? Czy potrafi dobrze upakować odezwy na sobie? A jeśli przywiąże je pod spódnicę i sznurek pęknie? Odezwy wylecą, ją zaaresztują?

Poczuł gorzkie współczucie i gorzko żałował, że nie zaznajomił jej ze sposobami umieszczenia pakietów na sobie; nie przestrzegł jej, że przy rewizyi trzeba być spokojną, odważną, śmiało patrzeć w oczy.

A jeśli ona, taka młoda, wesoła, niedoświadczona przesadzi w odważnem zachowaniu się, będzie się śmiała dla dodania sobie odwagi i maskowania się; albo też będzie zastraszona, onieśmielona... ściągnie na siebie podejrzenie i znajdą odezwy rewolucyjne?!

Jeśli?... W takim razie on w pierwszym rzędzie zawinił, on wciągnął ją do stronnictwa, on zgodził się na jej wyjazd, on nie przestrzegł jej należycie.

Sam Paweł wahał się, czy powierzyć jej odezwy? Wojtyrska chciała ją zastąpić... może to przypadek, ale może i ostrzeżenie losu.

Uśmiechnął się ze siebie... przecież on w żadne tego rodzaju przesądy nie wierzy; skąd mu to przyszło?

Lecz gdyby ją uwięziono, to on dołoży wszelkich starań, aby jej ulżyć, pocieszyć, pojedzie do Warszawy i poruszy wszelkie sprężyny, aby ją wydostać z cytadeli... Ona taka dobra, szlachetna, z jakim zapałem przystąpiła do stronnictwa. Szkoda byłoby dziewczyny!

I tak się rozczulił, że nie dojechawszy do Piotrkowa, już postanowił zaczekać na Helenę w Koluszkach i otoczyć ją opieką w Łodzi.

Tymczasem Helena przy pomocy i pod dozorem Olgi, bardzo zręcznie poukrywała odezwy za stanikiem białym, który zawsze nosiła zamiast gorsetu i na próbę nietylko ubrała się wieczorem, jak do podróży, ale odprowadziła Olgę do domu i u niej w mieszkaniu, zrzuciwszy paltocik, siedziała, spacerowała, nachylała się i obydwie z Olgą osądziły, że jeśli żandarmi mają zwykłe oczy, nie roentgenowskie, nie dopatrzą nigdy kontrabandy.

— Weź moje futerko — nalegała Olga

— Czy z bobrowym kołnierzem? — zaśmiała się.

— Nie... ale lekkie, ciepłe, a ranki bywają zimne.

— I noce także, a jakże!... Ale nie jestem siostrą, nawet mleczną Walczaka i nie chcę chlubić się futrem, chociażby bez bobrowego kołnierza — mówiła wesołym tonem.

— On jednak musiał wziąć futro ze względu na ilość broszur — stanęła Olga w jego obronie.

— Nie biorę mu też za złe wzięcia futra, ale sama nie pożyczę. Czułabym się nieswojsko w takiej paradzie.

— Jak nie, to nie... ale uważaj, Helciu, na siebie, pilnuj się, bądź zawsze sobą, naturalną.

— Dobrze, dobrze... Jak myślisz, Olgo, czy on przejedzie Granicę szczęśliwie?

— Teraz godzina dziewiąta minut pięć — patrzała na zegarek — jeśli pociąg się nie spóźnił, jest właśnie w sali rewizyjnej.

— A może już znaleźli? może uwięzili? i co z nim zrobią w takim razie?

— Co zwykle.. najpierw więzienie, a potem badanie skąd? dla kogo? na co?

— Byłaby jednak wielka szkoda, gdyby go uwięzili — westchnęła.

Olga spojrzała na nią badawczo i po chwili:

— Znów tak wielkiej szkody nie byłoby.. taki egoista... gbur psychologiczny...

Helena zarumieniła się i z wielką żywością mówiła:

— Byłam uprzedzona i nie znałam go...—a widząc jej uśmiech — tylko, proszę cię, nie sądź, że on mnie interesuje cokolwiek więcej, aniżeli jako działacz społeczny i polityczny.

— Nie przypuszczałam też nic innego. Czy dolegają ci paczki papierów?

— Trochę uciskają boki, ale to głupstwo, tylko mi gorąco, aż parzą.

— I to przez koszulę — uśmiechnęła się — coby było na nagiem ciele, jak chciałaś koniecznie.

— Tak... dobrze mi poradziłaś. A co się dzieje z Edmundem?

— Utonął zupełnie w romansie z Fanny. Unikam go i rozmowy o niej, bo nie rozumiem, jak można tak dać się pochłonąć miłostce, gdy jest tyle ważnych spraw społecznych.

— Uprzedzałam cię... pamiętasz?

— I dziś odpowiem ci to samo: nie mięszam się do spraw osobistych. Mogę żałować Edmunda, krytykować, ale póki nie będę pytaną, nic mu nie powiem; jeśli mu z tem dobrze, a drugim nie przynosi szkody, niech sobie romansuje.

— A ta Fanny?! Ona wstyd przynosi wszystkim studentkom...

— Nie jestem sędzią. Osobiście unikam jej, ale ileż mamy takich kolegów, jak Fanny i to im uchodzi, a inni nie uważają, że im wstyd przynoszą. Nie bądźmy bardziej drażliwe, aniżeli koledzy, bo przecież uznajemy równość zupełną

— A ty, mogłabyś tak postąpić, jak Fanny? Romansować z jednym, flirtować z drugim, być na schadzce z trzecim?

— Mówiłam ci, że sama sobie nakładam więzy etyczne, a zresztą mam wstręt do zamiany złota uczuć na drobną koprowinę.

— I ja rozumiem tylko jedną, jedyną miłość, a do miłostek mam odrazę... Bywaj zdrowa, do widzenia — ubierała się szybko.

— Jeszcze chwilkę, zostań.

— Nie.. zamkną bramę... do widzenia.

— Szczęśliwej podróży — uściskała jej rękę.

— Życz mi szczęśliwego powrotu, jak Walczak, bo podróż bawi mnie i cieszy — powiedziała uśmiechnięta, wychodząc z przedpokoju.

— Więc powrotu szczęśliwego i wesołego, a pilnuj się! uważaj!

— Dobranoc, Olgo!

Helena, wbrew swym przewidywaniom, spała tej nocy twardo i była niemile zdziwiona, gdy służąca ją zbudziła. Spojrzała na zegarek, już pół do ósmej, tak późno! Wyskoczyła szybko z łóżka, ubierając się z pośpiechem niezwykłym. Przy pomocy służącej ułożyła odezwy w sposób wiadomy sobie i wsiadła do zamówionych z wieczora sanek.

Na ulicach było dość pusto, gdyż nad ranem zerwał się zimny, ostry wiatr, sypiący od czasu do czasu kłującemi igiełkami lodu.

Helena, która wyszła z ciepłego mieszkania, poczuła dojmujący chłód poranka zimowego. Drżała z zimna i teraz żałowała, że nie przyjęła futra Olgi, pocieszała się, że w wagonie będzie cieplej.

Tymczasem wagon nie był opalony; pociąg ruszył i Helena, sama jedna w przedziale, tuliła się w róg, aby się trochę rozgrzać.

Przez grubo zamarznięte szyby przedostawało się mdłe światło posępnego dnia zimowego, które nie zdołało rozprószyć gęstszych cieni po kątach. Samotność, zimno, słabo oświetlony przedział, niemożność swobodnego ruchu i opuszczenia przedziału, nasunęły Helenie porównanie, że prawdopodobnie tak musi być w celi więziennej, tylko mniej wygodnie i ze słabą nadzieją odzyskania wolności. Wstrząsła się, raczej ze zimna, aniżeli z obawy więzienia, i poczuła pewien wstyd, aby ona bała się! Tylu ludzi przemyca książki szczęśliwie, dlaczegóż mają właśnie ją schwytać?!

Lecz raz rozbudzona wyobraźnia nie uspokajała się, przeciwnie, nasuwała pamięci opowiadania o schwytaniu tego lub tej, o surowem więzie-

niu, o biciu okrutnem, o wilgotnych celkach podziemnych z mnóstwem szczurów i różnego rodzaju owadów. Taki szczur włazi na ciało, zimny, wstrętny, tłusty i gryzie; broni się przed jednym, drugie nadbiegają, czuje je na całem ciele, wzdrygnęła się. I po ścianach oślizłych z wilgoci łażą stonogi, karaluchy, pluskwy, a w celi ciemno i ani piędzi ziemi wolnej od tych wstrętnych stworzeń. Lepsza już śmierć, aniżeli taka męka.

Ona nigdy nie wydałaby, kto jej dał odezwy? dla kogo wiezie? Nie, nie powie ani słowa.

Lecz kto wie, co będzie silniejsze, jej wola czy ciało? A jeśli ją zaczną katować, męczyć, straszyć... ona teraz już czuje, że nie wytrwa... ale bądź co bądź potrafi umrzeć.

To przekonanie uspokoiło ją, przypatrywała się z uśmiechem i ciekawością żandarmom, oddała paszport i zupełnie spokojna weszła do sali rewizyjnej.

Otworzyła kuferek i czekała na rewizyę. Rozejrzała się wokoło, podziwiała zręczność artielszczyków i służby cłowej, bawili ją strażnicy, z przewieszoną szablą snujący się za podróżnymi i o ile możności usuwała się od pięciu żydówek, które tuż obok niej, na samym końcu lady rozmawiały, wykrzykując od czasu do czasu głośno, żo nic nie mają do oclenia, jakkolwiek żaden z urzędników ich o to nie pytał.

Zbliżył się wreszcie urzędnik, a zobaczywszy złożoną jasną sukienkę, buciki i inne drobiazgi toaletowe, zapytał dość łagodnym tonem, jakkolwiek twarz jego zmarszczona, ze szpakowatą brodą, nadawała mu wygląd surowy.

— Czy pani za paszportem?

— Tak jest.

— Nazwisko pani?

— Helena Borwicz.

— Idź! sprawdź — rozkazał strażnikowi, a sam przeglądał dalej kuferek.

Helena widziała poprzednio, że nikogo nie pytał o paszport i nazwisko i tylko do niej zwrócił się z tem pytaniem. Czyżby wiedział coś o niej? a może ktoś podpatrzył i doniósł, że wiezie odezwy. Zapewne tak jest, poczuła przejmujące zimno około serca, jakieś ściskanie bolesne i mimowoli wstrząsła się. Spostrzegł to urzędnik i rzekł:

— Dziś zimno, a pani lekko ubrana.

Helena siłą woli zdusiła obawę i odpowiedziała ze swobodnym uśmiechem:

— Bardzo zimno nie jest, można wytrzymać.

Wrócił strażnik meldując:

— Paszport jest.

— Czy więcej nie ma pani nic?

— Nie, tylko kuferek.

— A może pani ma co przy sobie, bo to teraz karnawał... może koronki, może materyę jedwabną? — uśmiechnął się pod wąsem.

Helena przy tem pytaniu poczuła, że strach wszedł w jej oczy, że to dziwne zimno, które ją przejmowało, znów otacza lodem jej serce. Zmogła się jednak i zasłoniwszy oczy powiekami, odpowiedziała spokojnie:

— Nie lubię tańczyć i stroić się.

Urzędnik kazał przyłożyć kartkę i mruknął:

— Tak się to mówi.

Zaledwie krok zrobiła w kierunku żydówek, gdy podniosły głos:

— Ja nie mam nic... to mój kuferek!

Urzędnik wyprostował się, bacznie obejrzał żydówki i zawołał ostro:

— Wasyl Iwanowicz!

Cała sala umilkła i wszyscy spojrzeli ciekawie w stronę wołającego. I ujrzeli, jak jeden z uzbrojonych strażników opuścił swe stanowisko pod ścianą, zbliżył się do urzędnika i salutując:

— Słuszaju wasze wysokorodie!

— Do osobowoj rewizyi — wskazał ręką na oniemiałe kobiety.

Strażnik, miarkując po kierunku ręki, przydzielił Helenę do żydówek i rozkazał, posuwając je przed sobą:

— Na prawo! Dwery!

— Teraz już przepadło – pomyślała Helena – a może lepiej zaraz się przyznać i oddać odezwy, uniknie przykrości rozbierania się. Słusznie przeczuwała tę rewizyę, gdyż ten urzędnik wiedział, co wiezie i pytał o jej nazwisko. Odruchowo spojrzała w oczy tego urzędnika, który z uśmiechem ironicznym przysłuchiwał się lamentacyom żydówek.

Oczy ich spotkały się, a urzędnik, widząc ją idącą do pokoju rewizyjnego, zawołał uprzejmie:

— Wy, mademoiselle, swobodna! Wasyl Iwanowicz, madame swobodna.

Strażnik odsunął grzecznie Helenę, która zdobyła się na wdzięczny uśmiech i powiedziała serdecznie:

— Dziękuję panu.

— Niczewo... eto oszybka.

Teraz dopiero ugięły się kolana pod Heleną, uczuła dziwną ociężałość, przed oczyma zaczęły latać czarne, coraz to gęściejsze plamy i plamki, jednak na tyle miała samopoczucia, iż wiedziała, że zbliża się omdlenie. Upadnie, rozerwą stanik przy cuceniu i wszystko się wykryje. Gwałtownie uszczypnęła się w biodro i oparła się o ladę.

Urzędnik, który rewidował jej kuferek, podszedł do niej:

— Nie durno-li wam?

Domyśliła się raczej, że pyta o powód jej bladości, aniżeli zrozumiała i odpowiedziała z wysiłkiem:

— Tak... trochę, ale to przejdzie.

— Michał Michajłowicz, stakan wody.

— Siej czas.

Wypiła zimnej wody i siły wróciły. Znów podziękowała urzędnikowi i spokojna, równym krokiem wyszła ze sali.

Gdy usiadła w sali restauracyjnej i kazała podać herbatę, poczęła robić sobie gorzkie wyrzuty, że jest tak słabą, iż przy pierwszem lepszem wrażeniu traci siły, mdleje, jak pierwsza lepsza bohaterka czułych romansów. Jeśli tu, gdzie już jej nic nie groziło, a opuściły ją siły i omało nie zemdlała, co stałoby się z nią wobec bicia i męczenia? Nie, tak dłużej nie może trwać, ona musi zahartować ciało. Ale czy to od wrażliwości ciała zależy? Nad ciałem góruje wola i tę musi w sobie kształcić i zmusić ciało do zupełnej uległości. W jaki to sposób zrobi, nie rozmyślała nad tem, dosyć będzie czasu, gdy wróci z tej podróży.



Garson przyniósł herbatę z kubkiem śmietanki, przysunął masło i bułki.

Dlaczego jednak ten urzędnik, zresztą dobry i uprzejmy, pytał tylko ją jedną o paszport i nazwisko?

Jakaś przyczyna musi być, ale jaka? Chyba nikt nie doniósł, że wiezie odezwy, bo wypuszczono ją ze sali i nie nakazano rewizyi osobistej. A może donosiciel omylił się co do nazwiska i podał inne nazwisko.

Garson przyniósł herbatę z kubkiem śmietanki, przysunął masło i bułki.

Przypomniała sobie, że jest głodna i popijając herbatę, rozmyślała w dalszym ciągu o przyczynie pytania o nazwisko.

— Już wiem — szepnęła, uradowana odkryciem.

Zapewne ajent, śledzący pana Pawła, doniósł na Granicę, że ktoś będzie przewoził transport rewolucyjnych książek i teraz baczniej śledzą. A że prawdopodobnie domyślają się, iż tylko młodzi przewożą, tych pilnują. Zapewne wiedzą tajni ajenci o grupie polskich socyalistów, podali nazwiska członków, i widząc ją, studentkę, urzędnik kazał zbadać, czy jest jej nazwisko w spisie.

A nazwiska jej napewno niema, gdyż dopiero wczoraj przystąpiła do stronnictwa i nikt nie wie o tem, prócz Pawła i trzech kolegów.

Tajemniczość jednak w tych warunkach jest konieczną i dobrą.

W każdym razie musi być ostrożną i mieć minę swobodną, pewną siebie.

Poprawiła się na krześle, wyprostowała i uśmiechnęła się.

Taka samotna, młoda, ładna panna zwraca zawsze uwagę mężczyzn, ten i ów spoglądał na nią, a jeden z młodych urzędników od dłuższego czasu nie spuszczał z niej oczu, a widząc, że ona wyprostowała się, obciągnęła żakiet, poprawiła kapelusz i uśmiechnęła się, zbliżył się zwolna do jej stołu, siadł naprzeciw, kazał podać herbatę i czapkę z odznaką urzędniczą położył na stole. Przez chwilę milczał, obserwując Helenę i wreszcie spytał:

— Pani jedzie daleko?

Spojrzała zdziwiona, lecz spostrzegłszy czapkę urzędową, pomyślała, że może ten urzędnik ma prawo pytać się jej i po krótkiem wahaniu, odrzekła:

— Jadę w kierunku Warszawy.

— I tak, sama jedna? — starał się być uprzejmym i miłym.

To pytanie oburzyło ją. Czyż wygląda na dziecko? Czy nie wolno w tej Rosyi samej nawet podróżować? Odpowiedziała zimno:

— Sama... opiekunów nie potrzebuję.

— Ależ ja się nie narzucam — usprawiedliwiał się grzecznie — sądziłem, że pani, obcej tutaj, mogę być w czemś pomocnym.

— Nie, dziękuję panu — rzekła oschle, gdyż jego ton zbyt grzeczny, naprowadził ją na domysł, że ten młody człowiek chce odegrać rolę Don-Żuana!

Lecz urzędnik nie dał za wygraną i pragnąc nawiązać rozmowę, opowiadał:

— Wczoraj tu, w tej sali... a nawet przy tym stole, mieliśmy awanturę.

Helena udała, że nie słucha i zajęła się swoją herbatą.

— Już po rewizyi aresztowali żandarmi... jakiegoś pana.

Helena drgnęła i tak zadrżała, iż łyżeczka zadzwoniła o szklankę, zaczęła też gorączkowo mięszać herbatę. Aresztowano na pewne Walczaka, a ten urzędnik zapewne ją bada. O, ale ona nie da nic poznać po sobie, tylko, że znów czuje to wewnętrze zimno. Co tu robić, aby odwrócić jego uwagę od siebie? Szybko potrąciła rogalik ze stołu i schyliła się, aby go podnieść. Przez ten czas uspokoiła się trochę i prostując się, spojrzała w oczy mówiącego:

— Dlaczego aresztowali? Nie wie pan?

— Pewno przewoził pisma rewolucyjne, albo coś takiego.

— Ale jak mogli poznać?

— Żandarmi są wprawni, z jednego ruchu, ze spojrzenia, z miny poznają podejrzane indywiduum

(Ciąg dalszy nastąpi).



Straż pożarna w Skolem: Ćwiczenia straży. Fot. A. Horowitz. Skole.

Straż pożarna w Skolem.

Od szeregu lat urządza Krajowy Związek ochotniczych straży pożarnych, instytucya w kraju na polu podniesienia obrony pożarnej bardzo zasłużona, kursa pożarnictwa, których celem jest wytworzenie bądź instruktorów straży pożarnych, bądź też przyuczać do służby pożarnej całe korpusy strażackie. Nauka ta ujętą została w system i bywa poważnie traktowaną.

Kursa dzielą się na krajowe, powiatowe i lokalne. Krajowe kursa odbywają się tylko co dwa lata we Lwowie a uczestnicy tych kursów otrzymują świadectwa z aprobatą Wydziału krajowego. Kursa powiatowe odbywają się na żądanie Wydziałów powiatowych i wyrabiają instruktorów obowiązkowych straży pożarnych w gminach. Jeden z tego gatunku kursów odbył się na żądanie Zwierzchności gminnej w Skolem w lipcu i sierpniu br. a brali w nim udział członkowie straży pożarnej ze Skolego i Demni w liczbie około 50. Kurs przeprowadził człowiek wielce na tem polu zasłużony i bardzo energiczny p. Antoni Szczerbowski, sekretarz Związku strażackiego z pomocniczym instruktorem związkowym p. Karolem Ruziczką.

W dniu 15 sierpnia zakończono ten kurs bardzo udałym popisem wobec licznej publiczności i zaproszonych gości. Po ćwiczeniach fotografowano wszystkich uczestników, poczem odbyła się zabawa kosztem właściciela „państwa Skolego“ p. Schmidta.

Z wielkiemi trudnościami i przeciwnościami, lecz wytrwale walczą przy organizacyi straży pożarnej w Skolem pp. prezes Madeyski i naczelnik straży Nikodem Kobylański.

Illustracye nasze, zamieszczone w dzisiejszym numerze, przedstawiają: jedna grupę straży pożarnej, druga ćwiczenia straży



Straż pożarna w Skolem: Grupa członków straży. Fot. A. Horowitz. Skole.

Lampart na ulicach Lizbony.

Czego może dokonać rozum i wytrwałość ludzka, najlepszym chyba tego dowodem posłuszeństwo i uległość dzikich zwierząt, które, aczkolwiek nieraz silniejsze od człowieka, ulegają mu. Przebiegłością, a przedewszystkiem ciągłą i nieustającą wytrwałością, zmusza się najbardziej dzikie zwierzęta do bezwzględnego posłuszeństwa, uczy się je rozmaitych karkołomnych nieraz sztuczek, któremi produkują się następnie za wysoką opłatą przed licznie zgromadzoną publicznością. Umiejętność tych wyuczonych, dzikich stworzeń wzbudza podziw wśród zgromadzonych, którzy nie wahają się nieraz rzucać ciężko zapracowany grosz, byle tylko podziwiać ciekawe, a nieznane im produkcye.

Zdarza się jednak i to dość często, że niejedno ze zwierząt, katowane niemiłosiernie ręką pogromcy, przypomni sobie nagle lepsze czasy, czasy wolności. Wtedy rzuca się



Ustąpienie wicekróla Indyi: Lord Kurzon, ustępujący wicekról Indyi.

na swego ciemiężyciela, który wnet ginie pod zębami rozjuszonego zwierzęcia. Wypadki te nie są tak rzadkie, słyszymy o nich nieraz, a straszna śmierć pogromcy-bohatera wyciska nam łzy litości.

Ciekawy fakt tego rodzaju miał miejsce w Lizbonie. Wprowadzono właśnie wspaniałego lamparta do nowej, przeznaczonej dla niego klatki, gdy dzikie zwierzę podniecone razami pogromcy, jednym susem znalazło się poza klatką i zniknęło w gąszczach i zaroślach ogrodu. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności miało to miejsce wczesną jeszcze godziną, kiedy na ulicach Lizbony panował stosunkowo niewielki ruch. Skoro tylko padła pogłoska o ucieczce dzikiego lamparta, na całe miasto padł szalony przestrach. Ulice dawniej ruchliwe opustoszały zupełnie, jakby nad niemi przeleciał straszny anioł śmierci. Na gwałt zamykano sklepy, barykadowano wejścia. Lampart tymczasem zabawiał się w najlepsze w ogrodzie. Wysłano gwardyę najcelniejszych strzelców, którzy, nie tracąc chwili czasu, otoczyli cały ogród dokoła, nie chcącprzepuścić dzikiego zwierzęcia poza obręb ogrodu. Z niesłychaną ostrożnością przetrząsano wszelkie zaułki i gąszcza, z bronią przy oku stali najzręczniejsi, gotowi trupem położyć lamparta, gdyby się tylko ukazał. W jednym z gęstych i nieprzebytych gąszczy spoczywało zbiegłe zwierzę, nie spodziewając się napadu. Padło kilka strzałów, raniąc lekko lamparta. To rozjuszyło go tylko; wśród strasznego ryku rzucił się na napastników. Posypały się strzały, raniąc dotkliwie lamparta, ale równocześnie i biednego żołnierza, pozostającego w śmiertelnych uściskach rozjuszonego zwierzęcia.

Rycina nasza przedstawia tragiczną scenę, kiedy lampart, rozjuszony strzałami, rzuca się na jednego ze strzelców.

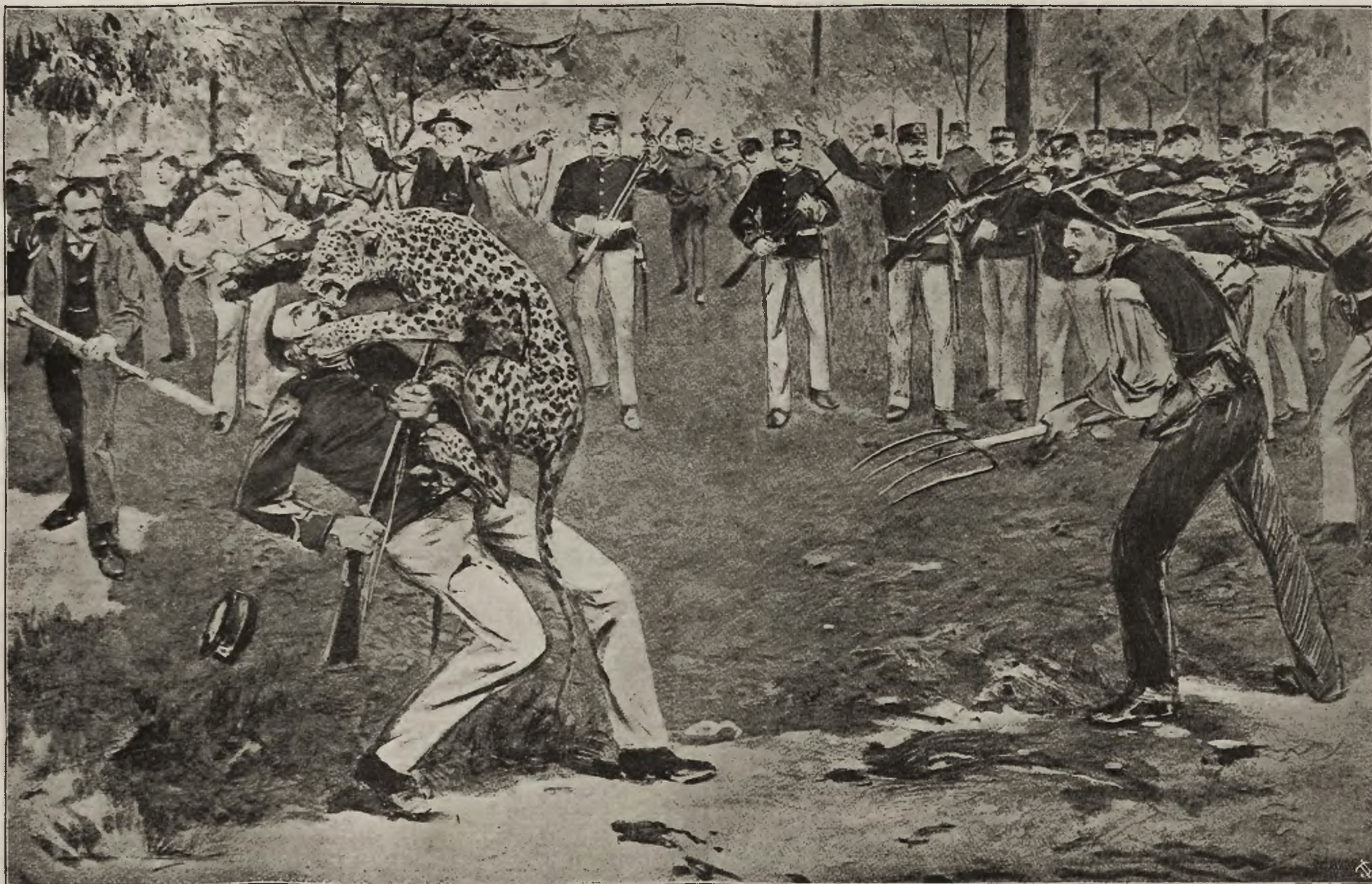
Ustąpienie wicekróla Indyi.

Rosya straciła w wojnie z Japonią nietylko Port Artura i Dalny, nietylko całą swoją flotę, straciła ona coś więcej, co dla niej ma może stokroć większe znaczenie, straciła swoja znaczenie, a tem samem i cały swój wpływ na ludy azyatyckie, podczas gdy jej wróg śmiertelny, Anglia, posuwała się naprzód. Wszelkie wysiłki dyplomatów rosyjskich skierowane były nie ku temu, żeby zatrzymać lub mieć kawałek Mandżuryi, im chodziło przedewszystkiem o posiadanie bajecznie bogatych Indyi. Już byli Rosyanie u bram Indyi. Walczono, nie zważając na ofiary, na granice Indyi wysyłano coraz nowe wojska, przekupywano książąt i wodzów, aż wpływ Rosyi na granicy Indyi angielskich się ugruntował. Tymczasem wybuchła wojna Rosyi z Japonią, każdy dzień przynosił wiadomość o nowej klęsce rosyjskiej, a każda klęska zmniejszała znaczenie Rosyi, książęta azyatyccy odpadali, podbite ludy poczęły się buntować, a z tego korzystała naturalnie Anglia, której przedstawiciel lord Jerzy Kurzon umiał doskonale wykorzystać każde osłabienie Rosyi. Jego postępowanie, jego zachowanie się prawdziwie królewskie wobec książąt Azyi, sprawiły jednak, że, aczkolwiek wpływ Anglii w ostatnich czasach, dzięki jemu właśnie, wzrósł ogromnie, w Anglii samej poczęto na wicekróla Indyi sarkać. Nie podobało się Anglikom to, że lord Kurzon postępował jakby sam król i to stało się przyczyną, że wicekról Kurzon zrezygnował ze swego stanowiska i ustąpił.



Ustąpienie wicekróla Indyi: Następca lorda Kurzona lord Ninto, nowy wicekról Indyi.

Lord Kurzon piastował godność wicekróla Indyi od roku 1898. Starał się on strzedz i rozszerzać interesy Indyi i kraju macierzystego w trzech



Lampart na ulicach Lizbony: Rozjuszone zwierzę rzuca się na polujących nań żołnierzy.

kierunkach, a mianowicie: w zatoce perskiej, w Tybecie i w Afganistanie. W tym celu przedsięwziął z niebywałą pompą podróż po portach nad zatoką perską i wchodził tam w porozumienie z naczelnikami plemion i szeikami. Dzięki jemu to głównie udało się Anglikom dotrzeć aż do Lassy, świętego miasta Dalaj-lamy.

Następcą jego mianowany został lord Minto. Jest to człowiek, mający za sobą bogatą przeszłość wojskową. Liczy dzisiaj lat 58. Czy okaże się godnym następcą swego poprzednika — niewiadomo; czas pokaże.

W uzupełnieniu artykułu podajemy w dzisiejszym numerze portret byłego wicekróla lorda Kurzona, oraz portret jego następcy, lorda Minto.



Nowoodkryty meteoryt: Meteoryt znaleziony w Chili.

Szklane domy w Ameryce.

Wśród ludzi całego świata zakorzeniony jest przesąd, że szkło jest najkruchszym materyałem. Ale znaleźli się tacy, którzy, zbadawszy wszelkie zalety i niezaprzeczoną trwałość masy szklanej, zaczęli jej używać w budownictwie dla stawiania np. stopni schodowych lub też układania posadzek. Całkiem jednak nowym jest amerykański pomysł budowania całych domów ze szkła.



Szklane domy w Ameryce: Kasa oszczędności w Des Moines w Ameryce zbudowana ze szkła.

Architekt amerykański Eastman, zamieszkały w Des Moines w stanie Jowa opatentował niedawno swój wynalazek, polegający na użyciu szkła do budowli nietylko zwykłych domów, ale i gmachów monumentalnych. Wkrótce wzięto się do stawiania dwóch gmachów według pomysłu Eastmana, budynku kasy oszczędności i kościoła metodystów. I wystawiono je. Illustracya nasza przedstawia gmach kasy oszczędności, wystawiony ze szkła.

Gmachy ze szkła stawiane dają możność utrzymania ich we wzorowej czystości, a wentylacya w nich jest wprost nieporównaną. Ciekawym szczegółem tych oryginalnych budowli jest absolutny brak okien, przez sklane płyty ścienne przenika bowiem dostateczna ilość światła; wentylacya zaś odbywa się zapomocą specyalnie skonstruowanych aparatów. Eastman uważa okna za szkodliwe we wszystkich gmachach, niemi bowiem przedostaje się do mieszkań kurz i odory uliczne. Zewnętrzny wygląd gmachów szklanych, stawianych przez Eastmana, jest śliczny; płyty szklane imitują doskonale marmur, a jest nawet sposób nadawania im pozoru onyksu. Mają one tę jeszcze zaletę, że ogień nie czyni im szkody. Konstrukcya ściany systemu Eastmana jest bowiem następująca: wynalazca oprawia dwie mlecznobiałe płyty na 6 mm grubości w mocne ramy stalowe, stanowiące wiązanie całej budowli. Pomiędzy tymi płytami (zewnętrzną i wewnętrzną) jest pusta, wypełniona powietrzem przestrzeń, co jest doskonałą izolacyą. Jeżeli więc, od ognia popękają tu i ówdzie płyty, to płomień, nie znajdując podatnego materyału, nie rozwinie się, a uszkodzenia dają się bardzo łatwo naprawić.

Budowle szklane znalazły szerokie uznanie u Amerykanów, którzy przekonali się o praktyczności tego zaite nader pomysłowego wynalazku.



Ofiary wojny: Żołnierz, który stracił nogę na polu bitwy, żebrzący u wrót kościoła w Petersburgu.

Ofiary wojny.

Wojna współczesna to moloch, pożerający tysiące ludzi, siejący śmierć i zniszczenie; nowowynalezione środki do zabijania ludzi są tak okropne, że aż przykro pomyśleć, iż środki te wynalezione zostały przez ludzi, że człowiek pracował nad niemi i nietylko pracował, ale wciąż dalej pracuje i udoskonala je. Toteż po każdej wojnie kraje, zawikłane w nią, roją się od ludzi niezdolnych do pracy, od kalek, dla których śmierć byłaby jedynie wyzwoleniem, bo nietylko, że sami do niczego są już niezdatni, ale są ciężarem dla rodziny i dla państwa.

Jak straszne są owoce wojny, to już dzisiaj można obserwować w Rosyi. Wprawdzie dopiero kilka dni minęło od czasu, kiedy na polach mandżurskich przestała lać się krew i ucichły armaty, kiedy nastąpiło zawieszenie broni, ale do Rosyi jeszcze w ciągu wojny od roku prawie przychodziły całe pociągi z rannymi, którzy po wyleczeniu się w szpitalach rozproszyli się teraz po Rosyi.

Petersburg roi się od tych biedaków. A godny pożałowania jest ich los. Z nadwątlonem zdrowiem, niezdolni do pracy, nie mają innego środka do życia prócz — kija żebraczego. Pieniądze, jakie mieli obiecane od rządu poginęły w kieszeniach czynowników, a oni, którzy krew własną przelewali za rząd, giną od głodu.

Illustracya nasza przedstawia jeden obrazek nieszczęśliwej doli ofiar wojny rosyjsko-japońskiej w Petersburgu. Żołnierz kaleka bez nogi, stanął u bram kościoła i wyciąga rękę po jałmużnę. A obok przechodzą urzednicy, może ci sami, którzy grosz, jemu za służbę należny, zabrali dla siebie. Ale nie czują wyrzutów sumienia. Oni spokojni. Oni mają co jeść i gdzie spać...

Nowoodkryty meteoryt.

Ciała niebieskie stanowią dla nas wogóle przedmiot ogromnie ciekawy. Ile razy przypatrzymy się niebu, błyszczącemu milionami gwiazd, ukrytych, niby oczy duchów gdzieś w niezbadanej głębi wszechprzestrzeni, duch nasz bezwiednie unosi się ku. tym światom i coraz bardziej korzy się przed

wszechmocą Stwórcy, który te globy stworzył i kazał im poruszać się, jak i naszej ziemi, w przestrzeni bez końca. Gwiazda spadająca wydaje się nam wtedy jakby posłem z owych zaziemskich krain, mającym nam przypomnieć, że my tutaj, że cała nasza ziemia, to jedynie drobny pyłek w wszechświecie, że ponad nami istnieje jeszcze miliony globów, nieraz większych od naszego. Czasem zleci z przestworza ułomek jakiego świata nadziemskiego znacznej wielkości. Takie ułomki nazywamy meteorytami.

W północnej części Chili, na terytoryum pustyni Tarapaca, znaleziono niedawno, nawpół zasypany piaskiem, złom kamienny, o srebrzystym połysku. Początkowo myślano, że natrafiono na bogatą żyłę srebrną, potem jednak okazało się, że zrobiono inne, niemniej interesujące odkrycie.

Mniemany kawał rudy srebrnej, okazał się po zbadaniu go przez znawców, rzadkim okazem meteorytu, którego powierzchnia była jakby wypolerowaną przez lotne piaski pustyni. Meteoryt ma kształt okrągławy, a powierzchnia jego pokryta jest różnemi wygłębieniami. Waga złomu wynosi 322 kilogramy. Skład chemiczny meteorytu jest następujący: żelaza 90%, niklu 8%, resztę zaś części składowych stanowią rozmaite odmiany pierwiastku węgla, krzemienia i ołowiu.

Oderwanie się Norwegii od Szwecyi.

Storting norweski uchwalił przed dwoma miesiącami zerwać unię, jaka łączyła Norwegię ze Szwecyą. Unia to była czysto personalna, bo Norwegia miała swój samorząd, rządziła się sama, miała parlament, wybieralny przez tajne głosowanie, nie miała tylko swego ministra spraw zagranicznych; to było po części jedną z przyczyn wybuchu zatargu szwedzko-norweskiego.

Storting norweski, chcąc okazać, że nietylko mężowie stanu i politycy życzą sobie zerwania unii ze Szwecyą, ale że uczucia ich podziela cały kraj, cała ludność, zarządził powszechne głosowanie, w sprawie oderwania się. I cóż się okazało? Rezultat głosowania zadziwił nietylko świat cały, ale może nawet i samych Norwegów. Oto na 48 tysięcy głosujących zaledwie 174 głosy były za utrzymaniem unii, reszta jednogłośnie oświadczyła się za zerwaniem unii. Najlepszy to dowód solidarności i zrozumienia swoich obywatelskich powinności u ludu norweskiego. To też wynik głosowania przyjęto wszędzie, w całej Norwegii, z niesłychanym zapałem. Po miastach urządzano uroczyste pochody z lampionami i tablicami, na których widniały napisy: Precz ze Szwecyą; po wsiach wspólne zabawy były objawem zadowolenia, jakie ogarnęło całą ludność.

Illustracya nasza przedstawia uroczysty pochód, urządzony w Chrystyanii, po ogłoszeniu rezultatu głosowania w sprawie oderwania się od Szwecyi.



Oderwanie się Norwegii od Szwecyi: Uroczysty pochód w Chrystyanii po ogłoszeniu wyniku głosowania za oderwaniem się od Szwecyi.

Pierścień narzeczonego.

Romans kryminalny ze wspomnień detektywa przez Gastona René.

7 (Ciąg dalszy).

Milcząc, zeszli na dół, gdzie książę wsunął portyerowi zamkniętą kopertę, nie dodawszy do tego ni słowa.

Przed domem stał powóz.

— Proszę, książę — rzekł Bernard półgłosem i wsiadł za księciem.

Prędko przyjechali na dworzec, gdzie stał już pociąg. Bernard kupił bilety i za chwilę wracali do Paryża.

Po przybyciu tamże, pojechali natychmiast do pałacu sprawiedliwości, a w dziesięć minut później znajdował się książę w celi więzienia śledczego i oczekiwał pierwszego przesłuchania.

VIII.

„Szklane oczko" uwiadomił zaraz po przybyciu do Paryża o wszystkiem szefa policyi. Nie uważał za konieczne robić dalej tajemnicy z tego, że w owej nocy widział księcia w willi. Uwięzienie księcia, którego nazwisko od chwili zniknięcia powtarzali wszyscy, wzbudziło wielką senzacyę, jedynie wtajemniczeni nie mogli sobie zdać z tych wypadków sprawy.

„Szklane oczko" postanowił uwiadomić ostrożnie barona o wszystkiem i w tym celu udał się następnego przedpołudnia do pałacu barona de Brepont.

Ten oczekiwał codziennie z policyi jakichkolwiek wiadomości. Na domiar złego pogorszył się jeszcze stan zdrowia Leontyny, po znanej nam scenie z markizem Lermą.

Baron, który go przedtem nie lubiał, teraz formalnie nienawidził.

Jak się potem przekonał, twierdzenia detektywa i markiza de Lermy, tyczące się stosunku księcia z Gizą Cornary, były prawdziwe i tem bardziej ubolewał nad nieszczęsną dolą jedynaczki.

Detektyw został natychmiast przyjęty i obaj udali się do kancelaryi barona, który zamknął starannie drzwi za sobą.

— Co mi pan powiesz, panie Bernardzie? — zapytał baron.

— Najpierw poproszę pana, abyś się przygotował na wielką niespodziankę — odpowiedział. — Zdarzają się w życiu wypadki, o których człowiek nie wie, czy śni, czy też jest na jawie. Otóż jednę z takich historyi chcę panu opowiedzieć!

Baron otarł jedwabną chustką pot z czoła i zapytał:

— Czy wyśledził pan może co nowego w sprawie, dotyczącej księcia de Bligny?

— Tak! Książę żyje!

Baron wsparł się obydwoma rękami na stole i podniósł się nagle.

— Nie żartuj pan tak strasznie, panie Bernardzie! — wykrztusił.

— Książę de Bligny żyje — powtórzył detektyw wolnym, lecz dobitnym głosem, nie zmieniając przy tem przedtem zajmowanej postawy — a nadto, przed czterdziestu ośmiu godzinami aresztowałem księcia w Marsylii i odwiozłem do więzienia śledczego w Paryżu! Teraz rozeszła się zapewne już o tem wieść po Paryżu i wyobrażam sobie zakłopotane ciekawie twarze tych, którzy nałamali sobie dość głowy nad tajemniczem zniknięciem księcia.

— Książę żyje! — mruczał baron i pociągnął ręką po czole. — Rzeczywiście to niespodzianka, na którą się trzeba było przygotować. Czy nie zechcesz mi pan udzielić bliższych wiadomości?

Detektyw skinął zezwalająco głową i przedstawił w krótkich, lecz dobitnych słowach całą historyę pościgu aż do chwili, kiedy oddał swego więźnia w ręce sędziego śledczego w Paryżu.

Baron, blady, siedział głęboko wciśnięty w fotel i nie przerwał ani słowem opowiadania detektywa. Gdy ten już skończył, wydobyło się ciężkie westchnienie z piersi barona.

— Rzeczywiście, czegoś podobnego nie mogłem nawet przypuścić — rzekł. — Co się stanie teraz z Leontyną? Sam pan przecież widział ostatnim razem, jak ta biedaczka ogromnie cierpi. W jaki sposób zakomunikuję jej tę wiadomość?

Detektyw odpowiedział:

— Jeśli pan przyjmie moją radę, panie baronie, to najlepiej będzie o najświeższych zdarzeniach nic baronównie nie mówić. Uda się panu z pewnością tak służbę pouczyć, żeby ta się nie wygadała! Należy tylko czekać, co przyniosą nam następne dni, bo niespodzianki z pewnością nie tak prędko ustaną i kto wie, czy cała sprawa nie weźmie nagle pomyślnego zwrotu!

— Pan wierzysz w takie rozwiązanie? — zapytał baron. — Pan jeszcze nie wie, jakiej wiadomości udzielił mojej córce markiz de Lerma owego popołudnia, kiedyśmy go tak nagle zaskoczyli!

Detektyw odrzekł powoli:

— Czy nie zechciałby mi pan tego powiedzieć, panie baronie? Mogłoby to mieć może wielką wartość przy śledztwie! Popełniono jedną zbrodnię, a może nawet i drugą. Bo trup, którego wyciągnięto z Sekwany, do którego bezsprzecznie należała ręka, której użyto do tej wstrętnej komedyi z pańską córką, jest naturalnie kimś innym, a nie księciem, lecz zawsze trupem. Rozchodzi się więc teraz o to, kto popełnił tę zbrodnię. Po drugie, hrabina Kowalska, która przedtem nazywała się Gizą Cornary, nie wpadła sama do Sekwany, tylko prawdopodobnie rzucił ją tam przez poręcze w ciągu kłótni jakiś mężczyzna. Mamy już o tem pewne wiadomości, a świadek, który tę scenę zdaleka obserwował, jest całkiem pewny w swych twierdzeniach. Bezpośrednio potem — czas zgadza się co do minuty — kupił jakiś, mocno zaaferowany mężczyzna, na poblizkim dworcu bilet do Marsylii, a tym mężczyzną nie był nikt inny, tylko książę de Bligny.

Baron zbladł jeszcze bardziej.

— Lecz pan nie sądzi, że książę popełnił to morderstwo?

— Takiem jest obecnie mniemanie policyi. Cóż innego możemy przypuścić? Łatwo bardzo pojąć, że książę pokłócił się z Gizą Cornary, gdy ta szła za nim owej nocy. Jak się to mogło stać, skąd obydwoje przyszli, czy chcieli się udać na dworzec kolejowy, aby uciec z Paryża, albo czy ona ścigała księcia i dopadła go dopiero w pobliżu Sekwany, poczem wszczęła się tą kłótnia, to dopiero wyświetli przesłuchanie księcia!

— Czy księcia jeszcze nie przesłuchiwano?

— Nie; jest on do tego stopnia przygnębiony, że chcemy, by się trochę uspokoił. Zrobiono to w interesie śledztwa, nie ze względu na księcia. Zresztą powiem panu otwarcie, że już od dawna miałem w ręku dowody tajemnego małżeństwa księcia, bo gdym po jego zniknięciu otworzył skrytkę biurka, wpadł mi w ręce ten dokument i w ten sposób stałem się panem tej bardzo ważnej tajemnicy, którą wytłómaczyłem sobie po swojemu.

— Oprócz księcia mamy w więzieniu śledczem jeszcze jednego więźnia, który bezsprzecznie jest zawikłany w tajemnicze zniknięcie Bligny'ego. Dotąd nic nie chce zeznawać, jednak wkrótce wszystko wyśpiewa!

— Nakoniec uwiadamiam pana w zaufaniu, jakie dla pana żywię, że markiz de Lerma, który bywał w pańskim domu, jako stary znajomy, znajduje się pod czujną strażą policyi. Uwięzienie go może nastąpić lada godzina.

Skoro Bernard przyrzekł jeszcze baronowi uwiadamiać go o wszystkiem, coby nowego zaszło, opuścił pałac.

Baron nie myślał nawet o tem, by z księciem, niedoszłym swym zięciem widzieć się, lub z nim pomówić. Projektowane małżeństwo stało się naturalnie niemożliwem.

Chociażby księciu się udało oczyścić z zarzutu zamordowania Gizy Cornary, swej pierwszej żony, to i tak pozostawało na nim niezatarte przekleństwo, że chciał zawrzeć podwójne małżeństwo, któreby Leontynę zrobiło jedną z najnieszczęśliwszych kobiet.

Za nic w świecie nie powinna się dowiedzieć o tem, co zaszło.

* *
*

Bernard mówił z całem przekonaniem, gdy twierdził, że ostatnie zdarzenia wywołają w Paryżu ogromną senzacyę. Nikt się nie spodziewał zrazu zaginionego księcia przy życiu, bo przecież policya wyłowiła jego trupa, a nawet stary sługa, Franciszek, poznał zamordowanego pana. Nie ulegało wątpliwości, że ubranie frakowe z miniaturowymi orderami należało do księcia, a nadto w kieszeni topielca znaleziono jego portfel z papierami. I teraz miałby książę zmartwychwstać? Lecz nietylko zmartwychwstać, lecz nadto uwięziono go w Marsylii, gdzie przebywał pod fałszywem nazwiskiem i doskonale przebrany i tylko bystrości agenta Bernarda udało się odkryć tajemnicę.

Dowiedziano się teraz także, że hrabinę Kowalską łączyły pewne stosunki z księciem i prawdopodobnie on sam musiał ją zamordować.

Podczas gdy publiczność dociekała motywów tej podwójnej zbrodni, śledztwo dążyło do wykrycia ciemnych punktów sprawy. Lis wzbraniał się jeszcze i teraz poczynić zeznania, lecz nie zadawano sobie z nim wiele kłopotu, bo sądzono, że po konfrontacyi z księciem będzie je musiał poczynić.

Ponieważ markiz de Lerma czynił przygotowania do opuszczenia Paryża, nie pozostawało nic innego, jak go ująć, bo według zapatrywania Bernarda, brał on osobisty udział w zbrodni.

De Lerma, przeczuwszy, że mu coś grozi, postanowił rzeczywiście opuścić na pewien czas Paryż, aby gdzieś w bezpiecznem miejscu przeczekać całą sprawę. Nie wiedział on nic o zjawieniu się księcia i uważał go rzeczywiście za umarłego. Gdy wsiadł do powozu, który go miał zawieźć na kolej, cofnął się nagle, zobaczywszy się naprzeciw nieznajomego mu mężczyzny, który szybko wyciągnął rękę w kierunku zamkniętych drzwiczek i przeszkodził mu w odjeździe.

— Cóż to ma znaczyć? — krzyknął wściekły.

W pierwszej bowiem chwili sądził, że wsiadł nie do swojego powozu, co mogło się stać bardzo łatwo, bo tego dnia bardzo wiele osób opuszczało hotel. Jednak twarz siedzącego naprzeciw, elegancko ubranego mężczyzny, wydała mu się znaną, a szczególnie te bure, bystre oczy.

— Na co pan sobie pozwala? — krzyknął jeszcze raz, gdy nieznajomy nie dawał natychmiast odpowiedzi, lecz pociągnął za sznurek, którym dał znak woźnicy do ruszenia z miejsca.

— Znajdzie pan wnet wytłómaczenie mego postępowania, markizie de Lerma — odpowiedział nieznajomy, którym był nie kto inny, jak tylko „Szklane oczko".

— Dokądże jedzie ten osioł stangret — zazgrzytał, zobaczywszy, że powóz nie skręca w ulicę, na której końcu był dworzec.

— Do pałacu sprawiedliwości, panie markizie — odpowiedział zimno detektyw. — Aresztuję pana!

Markiz otworzył szeroko oczy. Teraz wiedział, z kim ma do czynienia. Ten człowiek, to przecież ten sam, który przypatrywał mu się tak szczególnie w mordze i zaskoczył go tak niespodzianie z baronem de Brepont przy Leontynie.

A więc to detektyw!

Na wpół przygłuszone przekleństwo wyleciało z jego ust, a prawa ręka sięgnęła szybko do kieszeni surduta.

Detektyw go jednak uprzedził, bo trzymał go ciągle na oku i szybkim ruchem wykręcił mu rękę w dół tak silnie, że markiz krzyknął z bólu, a w chwilę potem czuł na rękach zimne żelazo kajdan.

— Mała niespodzianka, panie markizie — rzekł Bernard. — Chciałem panu oszczędzić przykrej sceny w hotelu. Oczekiwałem na pana przeszło godzinę przed hotelem i gdy nadjechał pański powóz, wystarczało pokazanie mej legitymacyi portyerowi i woźnicy, by uczynić mi tych ludzi powolnymi. W pałacu opuścimy powóz, który odjedzie napowrót do hotelu.

Długą chwilę patrzył markiz na podłogę powozu. Wysnuł w pośpiechu plan, jak musi postępować wobec sędziego śledczego, by zaimponować policyi.

Bernard obserwował swego więźnia z zimnym uśmiechem na ustach.

Markiz nie przeczuwał, że przegrał już sprawę. Podniósł głowę i zapytał szyderczo:

— Czy nie chciałby mi pan powiedzieć, o co mię właściwie posądzają, panie szpiclu?

Bernard wzruszył ramionami, nie obraziwszy się bynajmniej przezwiskiem.

— Dowie się pan wszystkiego od sędziego śledczego, panie markizie — odpowiedział. — Jeżeli pan myśli, że pozorna obojętność, albo oburzenie poprawi pańskie położenie, to grubo się pan myli. Niedawno miałem sposobność obserwować pana w nie bardzo stosownem dla pana towarzystwie i dowiedziałem się przy tej sposobności wielu ciekawych rzeczy.

— Co pan chcesz przez to powiedzieć? — zapytał markiz i popatrzył z pod oka na detektywa. Czy ten człowiek miał czarta do pomocy?

— Zna pan przecież piwnicę ojca Noego? — rzekł detektyw.

— A cóż mnie obchodzi ta knajpa? — wyrwało się nieostrożnie markizowi. — Nie znam całkiem tej dziury i słyszę po raz pierwszy dzisiaj to nazwisko.

— Zdradza się pan sam, panie markizie, bo skądże pan wiesz, że piwnica ojca Noego jest szynkiem?

Markiz zamilkł i przygryzł wargi aż do krwi.

— Chcę panu odświeżyć pamięć — ciągnął dalej detektyw. — Niedawno temu spotkało się w tej jaskini łotrowskiej dwóch ludzi, którzy mieli omówić bardzo zajmujący temat. Jeden z nich żądał pieniędzy i to po raz drugi. Oddał on, jak się zdaje, znaczną przysługę swemu towarzyszowi, a ponieważ ten przywdział tylko strój obszarpańca, a w rzeczywistości należał do szlachty francuskiej, przeto naciągnął go uczciwie. Jednym z tych dwu był zbrodniarz recydywista, któremu nadano przezwisko Lisa, a drugim — pan, panie markizie!

W tej chwili zatrzymał się powóz, a detektyw, nie czekając odpowiedzi markiza, otworzył drzwiczki powozu i wyskoczył. Krótki gwizd, a już zjawiło się dwóch policyantów u powozu.

Markiz wysiadł z powozu i oglądnął się naokół z wściekłością. Bernard kroczył za nim, a z obu stron postępowało dwóch policyantów. W chwilę potem znalazł się markiz w celi więziennej, gdzie go pozostawiono jego własnym myślom.

IX.

Drzwi, prowadzące do celi księcia de Bligny, otwarły się i urzędnik zawezwał go do przesłuchania. Książę nie rzekł ni słowa. Był on blady, lecz zdawało się, że już potrafił nad sobą zapanować. Postępował za urzędnikiem do kancelaryi sędziego śledczego, który obrzucił go badawczem spojrzeniem.

Może spodziewał się ujrzeć przed sobą człowieka złamanego — lecz omylił się, bo książę był zupełnie spokojny. Było w nim więcej bolu i wewnętrznej męki, która wyzierała z jego oblicza, aniżeli skruchy i poczucia winy.

Sędzia stawiał pytania krótkie i pewne. Od czasu do czasu rzucał okiem na boczne wyjście do pokoju, jak gdyby znajdowali się tam ludzie, przysłuchujący się przesłuchaniu.

Książę nie zważał na to. Stał wyprostowany przed sędzią, a odpowiedzi jego były powolne, jakby z rezygnacyą wypowiadane.

— Czy zechce pan, książę, bez dalszych pytań, dać zupełne wyjaśnienie co do swego zagadkowego zniknięcia i okoliczności, które się przy tem rozegrały? — zapytał sędzia.

— Proszę pytać, jeżeli będzie w mojej mocy odpowiedzieć, to uczynię to natychmiast.

Sędzia nie mógł się spodziewać lepszej odpowiedzi.

— Czy wie pan, o co jesteś pan obwiniony?

— Nie — zabrzmiała odpowiedź.

— Skonstatowano, że hrabina Kowalska, która zginęła w Sekwanie, przed samą śmiercią kłóciła się z jakimś mężczyzną na brzegu. Świadek, z którym pana później skonfrontuję, twierdzi, że widział, jak jeden lub dwu mężczyzn rzuciło nieszczęśliwą przez baryerę do wody. W kilka minut później wszedłeś pan zmięszany i blady na pobliski dworzec kolejowy, aby odjechać do Marsylii. Czy potwierdzasz to pan?

— Tak jest, nie chcę kłamać, że wspomnianej nocy spotkałem się z hrabiną Kowalską i że między nami wywiązała się krótka, lecz gwałtowna scena. Żem blady i zmięszany przyszedł na dworzec, jest możliwe. Starałem się wtedy tylko o to, by kupić bilet i módz odjechać odchodzącym właśnie pociągiem.

Sędzia zdawał się być zadowolony.

— Więc przyznaje pan także, że w czasie gorącej sprzeczki rzuciłeś do Sekwany hrabinę Kowalską?

— Nie, temu przeczę z całą stanowczością.

— Ale to nie będzie miało żadnego celu — wtrącił sędzia. — Powiedziałem już panu, że obserwował pana całkiem wiarygodny świadek. Zdawało mu się, że koło hrabiny poruszało się dwóch mężczyzn, jednak ciemności i lekki śnieg nie były dogodnemi do dokładnej obserwacyi!

— Nie mogę przyjmować na siebie występku, którego nie popełniłem — brzmiała spokojna odpowiedź księcia.

— Przedstawimy panu świadka, a potem dowiemy się reszty — rzekł sędzia. — Przechodzę teraz do innej sprawy. Ponieważ pan żyjesz, to możebyś był łaskaw powiedzieć, kto był właściwie tym nieboszczykiem, którego znaleziono pokaleczonego w Sekwanie?

— Tego nie wiem — odpowiedział książę.

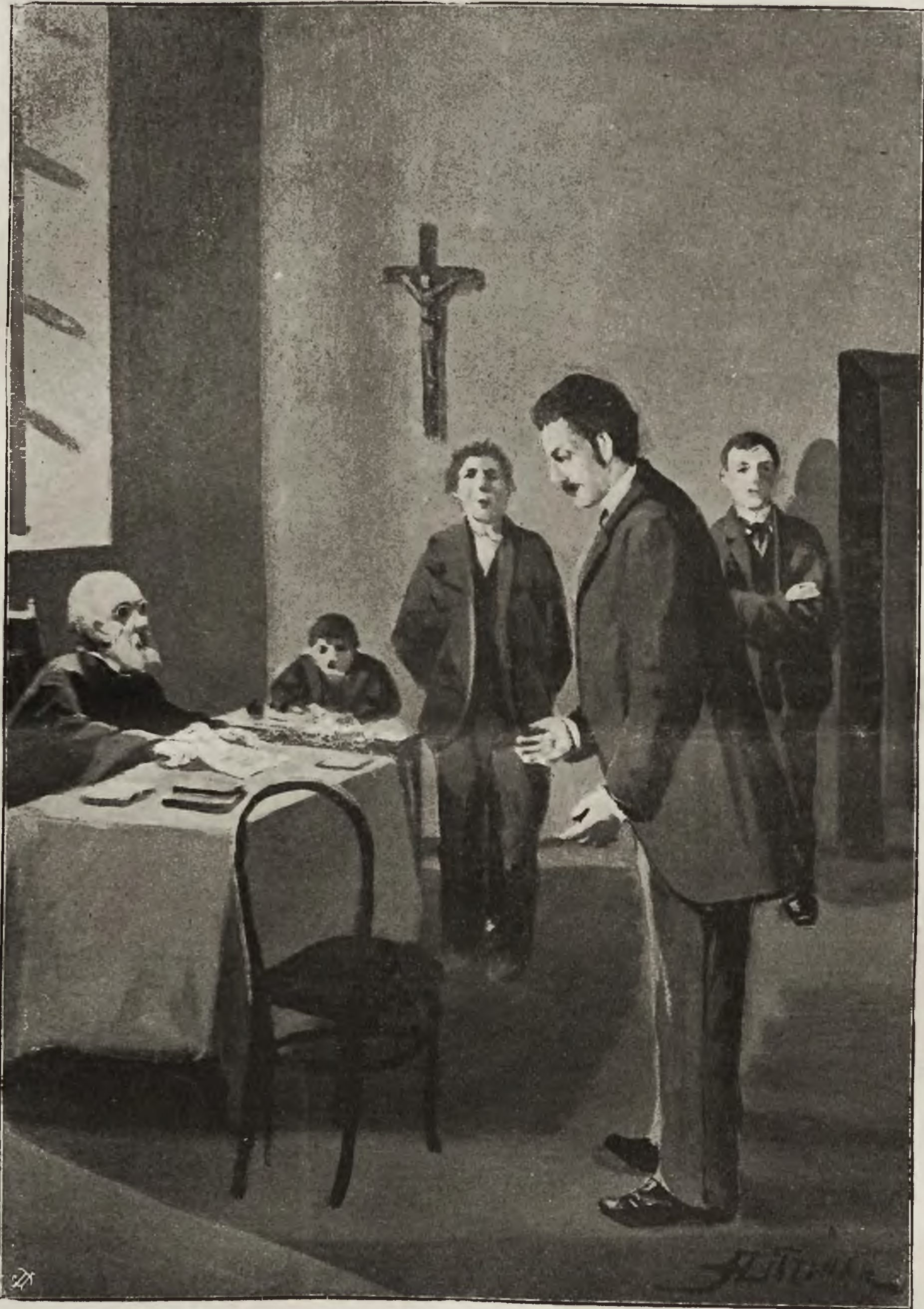
Sędzia przypatrzył się księciu bystro.

— Ów trup miał na sobie to samo ubranie, w którym wyjechałeś pan z willi w dzień ślubu. Nawet ordery i pański portfel z papierami znaleziono przy tem. Wszystko zgadzało się tak dokładnie, że nawet stary pański sługa Franciszek, jak również baron de Brepont, pański przyszły teść, sądzili, że zmarły jest księciem de Bligny. Ubranie i portfel wykluczają wszelką pomyłkę. Ponieważ pan w całkiem nie dający się wyjaśnić sposób zniknąłeś tego poranku, a do tego w swoim własnym powozie, przyjdzie panu z łatwością podać, co się potem stało!

Książę milczał chwilę, następnie rzekł z widocznym wysiłkiem:

— Może będę zmuszony odkryć całą tę tragedyę. Proszę jednak zadawać mi dalej pytania. Trupa, w którym poznano księcia de Bligny, nigdy w życiu nie widziałem! W jaki sposób moje suknie i portfel dostały się do niego, to przypuszczam, lecz nie mam co do tego pewności.

— Więc pan zaprzecza temu, jakobyś był winien współudziału w śmierci tego nieznajomego człowieka?



Za uwięzionymi otwarły się bez szelestu drzwi i wszedł niemi detektyw Bernard.

— Tak jest, panie sędzio. Nie widziałem tego nieszczęśliwego nigdy i nie wiem, w jaki sposób dostał się on do Sekwany.

— W jakim stosunku pozostawałeś pan do markiza de Lermy?

— Znam go zaledwie z nazwiska. Dość temu dawno, jak spotkałem gdzieś markiza, lecz gdzie, tego sobie nie mogę przypomnieć; lecz ponadto nic mię z nim nie wiązało.

Sędzia, który podczas tego robił potrzebne mu notatki, ciągnął dalej:

— Czy zna pan człowieka, zwącego się Piotr Gramont, a który między swymi towarzyszami nosi nazwisko Lisa?

Książę potrząsł głową.

— To nazwisko słyszę po raz pierwszy, nie znam także człowieka, któryby się podobnie nazywał.

Sędzia pocisnął guzik dzwonka elektrycznego, a gdy ukazał się woźny, dał mu jakiś rozkaz.

Ten cofnął się natychmiast.

— Postawię panu zaraz tego człowieka do oczu, może potem odświeży się panu nieco pamięć.

Drzwi otworzyły się i wszedł Lis, w towarzystwie policyanta.

Zaledwo książę spojrzał w jego twarz, wydał okrzyk nagłego zdziwienia.

— To jest ten człowiek, który rzucił się na mnie w ciemności i obalił mię na ziemię.

Sędzia zadziwiony podniósł się ze swego stołka.

— Co to ma znaczyć, książę? — zapytał.

Tymczasem wszedł Lis i patrzył z szczególnym wyrazem twarzy w księcia.

— Jeżeli ten człowiek, o którym pan właśnie mówi, panie sędzio, ten Piotr Gramont, albo Lis jest identyczny z tym człowiekiem, który stoi naprzeciw mnie, w takim razie go znam.

— Zatem pan przyznaje, że związałeś się z Lisem, by popełnić zbrodnię?

— Nie, do tego nie mogę się przyznać, bo byłoby to nieprawdą — wykrzyknął książę. — Widzę, że będę musiał wszystko odkryć, chociaż będzie mi to tak ciężko uczynić!

Zdawało się, że książę ulegnie chwilowemu omdleniu i na skinienie sędziego podsunął mu policyant stołek, na który upadł.

Lis stał zakłopotany na stronie i widać mu było z twarzy, że sam nie wie, jak ma się zachować.

— Wystąp, Gramoncie! — rozkazał mu w tej chwili sędzia.

Lis usłuchał.

— Popatrz temu panu w twarz i powiedz, czy i ty go poznajesz!

— Poznaję go, panie sędzio — rzekł.

— Wśród jakich okoliczności spotkałeś się z tym panem? Dawaj odpowiedzi krótkie a węzłowate! Kłamstwo teraz już nic nie pomoże!

— Nie będę mówił! — wyrzekł Lis zuchwało. — Udowodnijcie mi to, o co mię obwiniacie, a wtedy będzie dość czasu na to, aby się przyznać...

Sędzia kazał go odprowadzić na stronę i rzekł zimno:

— Zestawimy ci już twój rejestr, mój chłopczyku, możesz się już na to spuścić!

Książę przyszedł tymczasem do siebie i podniósł się ze stołka.

— Zapisz pan w protokole to, co panu muszę odkryć, panie sędzio — prosił nie bardzo silnym głosem. — Jestto niezwykły dramat i sądzę, że zyskam nieco litości i współczucia, jeżeli będzie pan wszystko wiedział!

Sędzia zadzwonił powtórnie i kazał przyprowadzić protokolanta, który milcząc, usiadł przy sąsiednim stoliku.

Podczas tego oparł książę czoło na ręku, jak gdyby musiał gwałtem skupiać swe myśli.

— Proszę! — zawezwał sędzia księcia.

Za uwięzionymi otwarły się bez szelestu drzwi i wszedł niemi detektyw Bernard.

Stanął on bez ruchu pod ścianą i słuchał wstrząsającego opowiadania księcia de Bligny, nie przerywając ni słówkiem.

— Przed kilkoma miesiącami powróciłem do Paryża i poznałem tutaj ówczesną moją narzeczoną, baronównę de Brepont — począł książę. — Niewinność i czystość tejże zrobiła na mnie głębokie wrażenie i zanim mogłem sobie zdać z tego sprawę, schwycił mię jej urok. Mam tylko na sumieniu jedną winę, którą strasznie odpokutowałem. Powinienem był powiedzieć mej narzeczonej, żem się już raz ożenił, a mianowicie w Londynie z byłą tancerką, Gizą Cornary, która potrafiła obudzić we mnie niewytłómaczoną namiętność.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Druga rocznica koronacyi papieża Piusa X.

W sierpniu br. minął rok od czasu, kiedy ster rządów Kościoła katolickiego objął po zgonie Leona XIII. nowowybrany papież Pius X. Puścizna, jaką odziedziczył po swoim wielkim poprzedniku, wymagała od nowego papieża nietylko hartu i energii, ale nadzwyczajnie bystrego patrzenia na rzeczy, wymagała wielkiej znajomości polityki i poświęcenia się. Genialny Leon XIII. zdołał przez cały czas sterowania łodzią Piotrową uzyskać sobie taki mir i takie poważanie że, aby być godnym jego następcą, trzeba było koniecznie to poważanie utrzymać, a nawet jeszcze podnieść.

Nowy papież, aczkolwiek co do usposobienia zupełnie inny, aniżeli jego poprzednik, zdołał godnością swoją w postępowaniu utrzymać stolicę apostolską na tej wyżynie, na jakiej ją zostawił Leon XIII.

Przed tygodniem obchodzono w Watykanie uroczyście rocznicę koronacyi Piusa X.

Na uroczystość tę przybyło ze wszystkich stron świata mnóstwo pobożnych, duchownych oraz książąt Kościoła. W otoczeniu kardynałów, poprzedzony honorową gwardyą szlachecką, udał się Ojciec św. do bazyliki św. Piotra, gdzie nieprzejrzane tłumy powitały go głośnem: „evviva papa". Bazylika przystrojona była okazale, na ołtarzach i żyrandolach płonęły setki świec; wśród bicia dzwonów i dymu kadzideł wszedł następca św. Piotra na stolicy apostolskiej do bazyliki, pobłogosławił tłumy wiernych i powolnym krokiem, jak biały anioł pośród tych pstrobarwnych tłumów podszedł do ołtarza pod którym spoczywają zwłoki wielkiego apostoła, gdzie przystąpił do odprawiania uroczystej mszy św.

Kto nie był był nigdy w kościele św. Piotra, w tym gmachu, który jest jakby muzeum sztuki, bo geniusze wysilali się, by go uczynić pierwszym kościołem na świecie, kto nie widział tych tłumów tysięcznych, zalegających ten kościół w czasie uroczystości, ten nigdy nie zdoła sobie wyobrazić, jakie wrażenie robi taka uroczystość. Tembardziej zaś rocznica koronacyi papieskiej obchodzoną bywa uroczyście i z niebywałą okazałością.

* * *

Illustracya nasza przedstawia uroczysty pochód kardynałów na mszę, którą w bazylice św. Piotra odprawił papież wśród wielkiej liczby nabożnych z całego świata, zebranych w bazylice.



Druga rocznica koronacyi papieża Piusa X.: Papież udaje się w otoczeniu kardynałów na uroczystą mszę św. do bazyliki św. Piotra.

Nowi członkowie Izby Panów.

Jest zwyczajem w Austryi, że monarcha powołuje co roku mężów wybitnych, odznaczających się i już za sobą mających zasługi na polu czy to politycznej czy ekonomicznej działalności, do Izby Panów. Izba Panów wraz z Izbą deputowanych, z parlamentem, stanowią ciało prawodawcze dla całej Cislitawii, nie licząc Węgier, które mają osobny parlament. Izba Panów, (po niemiecku tzw. Herrenhaus) jest więc instytucyą ogromnie ważną. Toteż, oprócz arcyksiążąt zasiadają w niej jedynie ludzie wybrani przez samego monarchę. mężowie światli i biegli w sprawach politycznych.



Nowi członkowie Izby Panów: Hr. Antoni Wodzicki.

W bieżącym roku między nowomianowanymi członkami tejże Izby znalazły się i dwa nazwiska polskie. Godnością członków Izby Panów obdarzył monarcha dwóch Polaków, a mianowicie Antoniego hr. Wodzickiego oraz Stanisława hr. Stadnickiego.

Nominacya ta wywołała w prasie polskiej pewne, uzasadnione zresztą, niezadowolenie, przedewszystkiem z tej przyczyny, że wśród pokaźnej liczby nowomianowanych Polaków było tylko dwóch. Czechów weszło świeżo do Izby Panów 5, Niemców kilkunastu, proporcya więc jest niemożliwa. Stosunek ten był zresztą wynikiem niemieckiej polityki prezesa ministrów barona Gautscha, który na Niemcach chce się oprzeć, a Czechów ugłaskać. Drugą przyczyną niezadowolenia był fakt, że w Izbie Panów zasiadają dotychczas z Polaków sami hrabiowie, jakgdyby wśród nas nie było ludzi, nie mogących się wprawdzie poszczycić hrabiowskim tytułem, ale mających nieraz większe zasługi dla społeczeństwa i państwa, aniżeli urodzeni hrabiowie. Pozatem jednak przyjęto te nominacye nawet obojętnie.

Podajemy obok portrety nowomianowanych panów Polaków.

Król angielski w Wiedniu.

W ubiegłym tygodniu gościł Wiedeń w swych murach dostojnego gościa, mianowicie króla angielskiego Edwarda. Przyjęcie monarchy brytyjskiego było bardzo serdeczne, a w prasie całego świata głośnem odbiło się echem.

Zjazd monarchów miał, jak każdy taki zjazd i znaczenie polityczne wielkiej wagi. Spowodowany on był, jak się zdaje, wyzywającem stanowiskiem Niemiec. Zjazd cesarza Wilhelma z carem, późniejsza wizyta władcy Niemiec w Szwecyi u króla Oskara także się do tego przyczyniły.

Król angielski rozmyślnie i celowo pominął Niemcy, a przybył w gościnę do sędziwego monarchy Austro-Węgier, gdyż chciał okazać cesarzowi Wilhelmowi, że Anglia nie boi się Niemiec i że bez nich się obejdzie, a gdyby przyszło do wojennej rozprawy, to sama sobie da radę. W tym celu przecie zarządziła admiralicya angielska demonstracyjne ćwiczenia floty angielskiej na wodach północnych.



Nowi członkowie Izby Panów: Hr. Stanisław Stadnicki.

Wizyta Edwarda VII u cesarza Austro-Węgier miała na celu także zbliżenie się Anglii i Austryi. Chodziło o manifestacyę, że i w Austryi ma Anglia życzliwego, może nie sprzymierzeńca, ale w każdym razie nie wroga.

Na illustracyi naszej widzimy króla angielskiego, jadącego w powozie razem z cesarzem Franciszkiem Józefem.

Król angielski w Wiedniu: Edward VII z cesarzem Franciszkiem Józefem w powozie.



Pokój. — Wojna rosyjsko-japońska. — Obopólne straty. — Z historyi innych wojen — Legalne i nielegalne mordowanie ludzi. — Gromadne trucie mężów przez żony. — Wykrycie zbrodni.

Skończyła się wreszcie wojna rosyjska-japońska pokojem w Portsmouth. Dnia 6 lutego 1904 roku zostały zerwane stosunki dyplomatyczne pomiędzy Rosyą a Japonią, a w nocy z dnia 8 na 9 lutego, z poniedziałku na wtorek, admirał japoński Togo wykonał słynny atak ze swoją flotyllą torpedowców na flotę rosyjską w Porcie Artura. Jeżeli dzień 29 sierpnia br. przyjmiemy jako datę rzeczywistego zaprzestania walki we wschodniej Azyi, w takim razie wojna rosyjsko-japońska trwała 569 dni, czyli 1 rok, 6 miesięcy i 19 dni. Wojna rosyjsko-turecka w r. 1853 razem z wojną krymską trwała 2 lata, 4 miesiące i 3 dni; wojna austryacko-pruska w r. 1866 skończyła się po 35 dniach; wojna austryacko-włoska z tego samego roku po 52 dniach; wojna pomiędzy Francyą a Niemcami trwała 6 miesięcy i 9 dni; rosyjsko-turecka w r. 1877/78 10 miesięcy i 9 dni.

Straty armii rosyjskiej wedle źródeł rosyjskich wynosiły w zabitych, rannych i wziętych do niewoli aż po miesiąc październik 1904 r. okrągło 70.000 ludzi. Tak obliczyli straty swoje sami Rosyanie i można śmiało twierdzić, że cyfra ta w rzeczywistości była znacznie większą. Dodawszy do tego straty pod Mukdenem, tudzież w innych mniejszych walkach, wynoszące około 170.000 ludzi, okazałoby się, że Rosyanie w tej wojnie stracili 200.000 ludzi. Z tego — równie wedle rosyjskich obliczeń wypada tylko 40.000 na poległych, 70.000 znajduje się w niewoli japońskiej, reszta 90.000 ma być rannych. Są to — powtarzamy — obliczenia rosyjskie, a więc z pewnością zbyt nizkie.

Japończycy podczas bitwy ponieśli największe straty w bitwie pod Mukdenem, gdzie stracili 50.000 ludzi. W bitwie tej mieli Japończycy o 117.000 piechoty, 19.000 konnicy i 442 działa mniej niż Rosyanie, a jednak wykonali atak na silniejszego znacznie wroga i wygrali bitwę wbrew przepisom teoryi. Podczas całej wojny dostało się do niewoli rosyjskiej zaledwie 5.000 Japończyków, poległo około 50.000, a rannych było około 15.000. Wobec tych cyfr trzeba przyjść do wniosku, że rosyjskie urzędowe obliczenia były fałszywe.

Wydatki na wojnę wynoszą po stronie japońskiej 1.356 milionów jenów, czyli 3 miliardy (3 tysiące milionów) i 390 milionów koron. Rosya wydawała rocznie na wojnę 700 milionów rubli, co za cały czas wojny wyniosłoby okrągło 3 miliardy koron. Gdy się tu wliczy straty kapitału i materyału w Porcie Artura i w Dalnym, straty w okrętach i kolejach, to rosyjskie wydatki na wojnę okażą się wprost bezprzykładnie wielkiemi.

Dla porównania przytaczamy straty z innych wielkich wojen. Podczas wojny w latach 1853 do 1856 mieli Turcy nad Dunajem 130.000 ludzi, Rosyanie 160.000. Na Krymie około połowy września miały sprzymierzone przeciwko Rosyi mocarstwa 65.000 ludzi, w listopadzie 70.000, a w maju 1855 roku 174.000 ludzi. Po stronie rosyjskiej odpowiednie cyfry wynosiły 35.000, w listopadzie 82.000, w maju 170.000. Straty w bitwach wynosiły ogółem po stronie sprzymierzonych 70.000 ludzi, po stronie Rosyan 128.000; ale skutkiem chorób i trupów wojennych Turcya i sprzymierzone mocarstwa straciły razem 252.000 ludzi, Rosyanie 256.000.

Podczas wojny niemiecko-francuskiej armia niemiecka liczyła z początkiem sierpnia 384.000 ludzi, w listopadzie 425.000, dnia 1 marca 1871 roku 630.000 ludzi. Ogólna liczba Niemców, którzy podczas wojny przekroczyli granicę francuską, wynosiła 83.000 oficerów i 1,113.000 żołnierzy. Francuzi mieli z początkiem sierpnia 250.000 ludzi, w połowie listopada 600.000 „obrony narodowej“, dnia 1 marca 1871 r. 534.000 ludzi, z tego atoli zdolnych do walki tylko 250.000.

Niemcy mieli następujące straty: 28.278 poległych, 88.543 rannych, 12.879 zaginionych, razem 129.700. Po stronie francuskiej smutny bilans przedewszystkiem zaznacza, że liczby rannych i zaginionych nie można oznaczyć nawet w przybliżeniu. Do niewoli niemieckiej dostało się 11.860 oficerów i 372.000 żołnierzy. Dodawszy do tego rozbrojonych w Paryżu i Szwajcaryi Francuzów, otrzymamy liczbę 21.500 oficerów i 700.000 ludzi. Francya wydała na wojnę 9 miliardów franków, zapłaciła 5 miliardów kontrybucyi, straciła 11 miliardów z majątku narodowego, razem 25 miliardów franków i prowincyę mającą 264 mile kwadratowe.

Podczas wojny rosyjsko-tureckiej mieli Rosyanie i sprzymierzeńcy ich w kwietniu 1877 roku 135.000 ludzi, Turcy 167.000 ludzi. Dnia 1 sierpnia po pierwszej bitwie pod Plewną było po stronie rosyjskiej 250.000 ludzi, po stronie tureckiej 260.000. Po upadku Plewny posiadali Rosyanie 416.000 ludzi, między nimi 68.000 Rumunów, Serbów i Czarnogórców, Turcy tylko 18000. Ale po traktacie w San-Stefano Rosya musiała ustąpić wobec mocarstw europejskich i zgodzić się na oddanie sprawy pod decyzyę kongresu w Berlinie, gdyż posiadała zaledwie 60.000 ludzi, zdolnych rzeczywiście do walki. Turcya musiała zapłacić 707 milionów kontrybucyi, z której dotąd jest jeszcze dłużną pewną część.

W taki sposób ludzie mordują się legalnie, wedle wszelkich reguł sztuki. Ale mordują się także i nielegalnie, dla rozmaitych bardzo poziomych zawodów. Oto co donoszą z Szegedynu na Węgrzech. Już od dłuższego czasu obudził podejrzenie fakt, że w pewnej części komitatu Bacs Bodrog w niektórych gminach mężczyźni zupełnie zdrowi zaczynali chorować niespodziewanie, upadali powoli na siłach i umierali. Inspektor policyi w Moholu, Gabryel Karakas przez długi czas obserwował te okoliczności i postanowił zgruntować powody owych tajemniczych zgonów.

Po długich zabiegach zdołał dostać się do domu swojego znajomego, właściciela realności Daniela Popowicza, który liczył 46 lat życia, do niedawna cieszył się jak najlepszem zdrowiem, aż całkiem bez powodu zaczął chorować i niknął, jak to mówią, w oczach. Jak wspomnieliśmy, inspektor policyi Karakas dopiero po długich zabiegach dostał się do domu Popowicza, którego żona sprzeciwiała się nieustannie pod rozmaitymi pozorami wszelkim odwiedzinom.

Podczas odwiedzin, gdy Popowiczowa opuściła pokój chorego, Popowicz opowiedział, że od dłuższego czasu żona daje mu do picia w dużym kieliszku wódkę żółtawo zabarwioną i że przed kilku miesiącami skłoniła go, ażeby jej zapisał 70 morgów pola. Lekarz gminny, dr. Paweł Hovar, zawiadomiony o wszystkiem przez inspektora policyi, przybył do chorego i stwierdził objawy otrucia w sposób niewątpliwy W dalszym ciągu śledztwa Karakas skonstatował, że rolnik Jaksity zachorował pośród podobnych objawów i że pił taką samą wódkę, którą też inspektor znalazł w domu pewnej wdowy. Od niej dowiedział się, że wódka pochodzi od włościanki Miryckiej. Wtedy komisya policyjna udała się tam celem przedsięwzięcia rewizyi. Mirycka broniła się zaciekle, ale wreszcie ubezwładniono ją i przeprowadzono rewizyę, podczas której znaleziono 9 flaszek wódki i paczkę arszeniku.

Mirycka oświadczyła, że wódki i arszeniku dostarczyła jej znachorka Koraczika. Policya uwięziła znachorkę, Mirycką, Jaksitową i Popowiczową. Ale śledztwo trwało w dalszym ciągu. Sąd zarządził ekshumacyę sześciu zwłok. Udowodniono, że otruci zostali wieśniak Peter, szynkarz Peity, właściciel realności Karakas, tudzież Mirycki. Dalej niejaki Lolin oszalał skutkiem picia owej wódki, Staniszyn ciężko zachorował, a Popowicz i Jaksity walczą ze śmiercią. Tak działo się w miejscowości Mohol. Dochodzenia stwierdziły, że we wsi Petrovoszallo w ciągu kilku miesięcy umarło w taki sposób 14 mężczyzn żonatych.

Co było powodem tego gromadnego trucia mężów przez żony? Oto kobiety owe, utrzymując stosunki miłosne z parobkami, chciały się pozbyć mężów, ażeby poślubić kochanków. *k. e.*

Andrzej Mielewski.



Andrzej Mielewski.

Ze zmianą dyrektora sceny krakowskiej zmienił się się także i zespół artystycznej drużyny. Nie było w trupie p. Kotarpińskiego sił nader wybitnych, personal teatralny składał się w przeważnej części z miernot, utrzymywanych przez „panią dyrektorową“ dlatego, że te miernoty zadowalały się małą gażą, a w całej trupie było może pięciu artystów i dwie artystki, które miały prawo do takiej nazwy, bo byli to ludzie rzeczywiście zdolni i miłujący sztukę, kapłani sztuki.

Do ich rzędu należał i p. Andrzej Mielewski. Artysta ten cieszył się w Krakowie największą sympatyą, był ulubieńcem publiczności i jednym z tych filarów naszej sceny, którzy nieraz cały ciężar sztuki dźwigali na swych barkach, umożliwiając wystawianie arcydzieł, w których grali role główne, role najważniejsze, bo odegranie ich decydowało o powodzeniu sztuki. P. Mielewski, w pewnych sztukach, był dla sceny krakowskiej siłą wprost nieocenioną i niezastąpioną nikim. Jego piękny, melancholijną nutą tęsknoty drgający głos nadawał się szczególnie do deklamacyi w dramatach Mickiewicza, Słowackiego i Wyspiańskiego. Konrad w „Dziadach“ i Konrad w „Wyzwoleniu“ Wyspiańskiego, to były dwie kreacye Mielewskiego, w których go absolutnie nikt zastąpić nie zdoła. W role te włożył p. Mielewski całą swoją duszę, całą inteligencyę i rutynę aktorską. A nie mówimy tu już o innych sztukach, w których po większej części p. Mielewski trzymał — jak to mówią — przedstawienie. Każda postać przez niego stworzona, drgała życiem, naturalnością i wyrazistością charakteru. Publiczność oceniała pracę i talent swego ulubieńca, toteż z niemałem zdziwieniem przyjęto w Krakowie wiadomość, że p, Mielewski nie został zaangażowany na bieżący sezon.

Nie znamy przyczyn, dla których p. Solski nie zaangażował p. Mielewskiego w skład swojej trupy, wyznajemy jednak szczerze, że brak jego i my przyjęliśmy ze zdziwieniem. Jak wspomnieliśmy wyżej, p. Mielewskiego trudno będzie zastąpić na naszej scenie. Zaangażowany na jego miejsce p. Wiślański, który objął całą olbrzymią puściznę ról po p. Mielewskim, jest może artystą bardzo zdolnym, ale jest jeszcze za młody i nie dorósł do tego, aby mógł zastąpić p. Mielewskiego. Pokazało się to już w ciągu kilku pierwszych przedstawień, a przecież trzeba zważyć, że nie grano jeszcze wszystkich sztuk, w których p. Mielewski święcił tryumfy. Ubytek p. Mielewskiego da się niewątpliwie dotkliwie odczuć w bieżącym sezonie, bo w całej trupie p. Solskiego niema obecnie artysty, któryby mu dorównał i mógł z nim współzawodniczyć.

Mówiliśmy już na początku, że personal teatralny zmienił się razem z dyrektorem. W głównym składzie personal ten pozostał tensam, ubyli jedynie p. Mielewski i p. Mrozowska, to znaczy ubyły najważniejsze siły. W miejsce ich zaangażował nowy dyrektor kilku artystów i kilka artystek, ale to wszystko siły młode, nie wyrobione jeszcze. To znaczy, że personal teatralny jest obecnie słabszy, niż był dawniej.

Nie wątpimy, że p. Solski, któremu przecież przedewszystkiem chodzi o podniesienie naszej sceny, o podniesienie teatru, do poziomu, na jakim znajdował się za dyrekcyi Pawlikowskiego, a z którego strąciła go dyrekcya pp. Kotarbińskich, usunie nieporozumienie, jakie zaszło między nim a p. Mielewskim, bo jesteśmy przekonani, że to tylko nieporozumienie i że p. Mielewski nie opuści Krakowa, z którym się zżył, podobnie jak się zżyło nasze miasto z nim, i ku chlubie i pożytkowi sceny krakowskiej, nadal pracować będzie.

Z wojny rosyjsko-japońskiej.

Z niebywałem napięciem oczekiwał świat cały wyniku konferencyi pokojowej w Portsmuth. Obrady tej konferencyi zatarły swoją wagą wszystkie inne współczesne wydarzenia polityczne. Świat stał bowiem w przededniu faktu, po zajściu którego ma się dopiero rozpocząć krystalizować przeczuwany dotąd zaledwie nowy układ stosunków międzynarodowych. Zrozumiałe tedy napięcie nerwów wobec rokowań pokojowych, zwiększały jeszcze hipotezy, wypowiadane co do wyniku obrad, oparte najczęściej na rachubach dyplomatycznych, więc na nieuniknionej złej wierze i podstępnych chęciach, zmierzające do rzucenia piaskiem w oczy przeciwnikowi opinii swego kraju i opinii świata. Jedyną zasługą tych przepowiedni, głoszonych w formie wywiadów, spostrzeżeń, poufnych zwierzeń i żalów, wreszcie w formie wrażeń, a nawet nastrojów, była utrzymywana w nich starannie równowaga, dzięki której na każde z osobna proroctwo optymisty, przypadała równie stanowczo pesymizmem zarażona wróżba. Skutek był ten, że ogólny efekt wszystkich hipotez równał się zeru i że umysł, doszedłszy raz do tego przekonania widoków dla pokoju, lub wojny, szukał już samoistnie na podstawie pewników danych i niewątpliwych. Takiemi pewnikami zaś były: chęć zawarcia pokoju po stronie Japonii, która w dalszej wojnie musiałaby walczyć o zyski już osiągnięte i objęte w posiadanie, niepraktyczność dalszej wojny dla Rosyi, wobec tego, że przeciąganie walki opłaciłoby się dla niej tylko na wypadek miażdżących tryumfów generała Liniewicza, w których prawdopodobieństwo nie wierzył jednak ani jeden Rosyanin, wreszcie gorące i w najszlachetniejszem znaczeniu ambitne pragnienie prezydenta Stanów Zjednoczonych, o których względy dbała niezawodnie Japonia, ich rywalka na Oceanie Spokojnym, a tem więcej dbać musiała Rosya, z tego Oceanu przez Japonię wyparta. Dlatego sąd, na tych pewnikach oparty, przechylał się na stronę pokojowego optymizmu.

Przyczyniał się do tego w niemałej wierze i fakt, notowany przez wszystkie dzienniki, zwłaszcza przy dobieganiu obrad konferencyi pokojowej do końca, a mianowicie, że obce mocarstwa wywierają na Japonię silną presyę, aby ją zmusić do zawarcia pokoju. Wymagały tego stosunki dyplomatyczne.

Pogodny obraz nadziei pokojowych zaćmiewały tylko dwa punkty w warunkach pokojowych, dyktowanych przez Japonię, t. j. zajęcie Sachalinu i odszkodowanie wojenne. Rosya oświadczyła zaraz na początku rokowań, że nie zapłaci ani centa kontrybucyi. Kiedy Rosya później, w ciągu obrad, stanowczo odrzucała ten warunek, powstało mniemanie, że długie targi obustronne doprowadzą może do zmniejszenia kwoty odszkodowania, do nadania jej innej formy, innego tytułu, lecz z możliwością zupełnego jej skreślenia z żądań japońskich w wielu kołach politycznych nie liczono się wcale.

Wprawdzie już w chwili rozpoczęcia rokowań pokojowych ze strony japońskiej twierdzono, że rząd mikada zadziwi świat umiarkowaniem swoich żądań. Gdy ogłoszono warunki pokojowe, świat rzeczywiście zdumiał się, bo w istocie nie były one zbyt wygórowane wobec ogromnych sukcesów Japonii na lądzie i na morzu i wobec olbrzymich wysiłków, jakie państwo to zmuszone było podjąć na tę wojnę. Nie przypuszczano wówczas jeszcze, że i te warunki doznają w końcu tak znacznego obniżenia, że usunięty zostanie warunek, może najważniejszy, mający wrócić Japonii poniesione ofiary na wojnę.

Tymczasem stało się inaczej.

W chwili, kiedy sytuacya zaostrzyła się nadzwyczajnie i sądzono powszechnie, że układy zostaną zerwane, we wtorek ubiegły, późnym już wieczorem, spadła zgoła niespodzianie wiadomość, niezmiernej dla całego świata cywilizowanego doniosłości, że rokowania w Portsmuth doprowadziły do pożądanego rezultatu.

Pokój został zawarty!

Zamknął się przeto okres, jeden z najkrwawszych i najokrutniejszych w dziejach ludzkości wojen, a zamknął się podobnie, jak cała ta, pełna dziwów i niespodzianek kampania, świetnem zwycięstwem moralnem Japonii, która, jakkolwiek otoczona aureolą całego szeregu świetnych zwycięztw, dziś imponuje światu swoją ustępliwością i wielkodusznością.

Jeżeli bowiem dziś, zarówno zwycięzca, jak zwyciężony, chowają miecze okrwawione do pochwy i podają sobie dłonie do trwałego pokoju, to jest to jedynie i wyłącznie zasługą owego narodu wschodnich wyspiarzy, wyniesionego dziś do godności pierwszorzędnego mocarstwa, imponującego światu zarówno swą dzielnością i świeżością sił, jak szlachetnością i rozumem. I kiedy onegdaj drut telegraficzny przyniósł trafne wyrażenie się znakomitego wodza japońskiego, marszałka Oyamy, że Rosya nie umie ani wojny prowadzić, ani zawrzeć pokoju — to dziś owo zdanie da się chlubnie odwrócić odnośnie do Japonii, która tak wspaniale zdała egzamin, nietylko ze swych militarnych zdolności, ale także z rozumu i wytrawności swych mężów stanu.

Pokój doszedł do skutku na podstawie kardynalnych ustępstw, które wreszcie poczynili upoważnieni do tego przez swój rząd reprezentanci japońscy na konferencyi w Portsmouth. Japonia ustąpiła we wszystkich tych punktach, które dla przeciwnika stanowiły wprost niemożność zawarcia pokoju, bez równoczesnego okrycia się hańbą. Przyjęła tedy oświadczenie Rosyi, że nie ma być płacone żadne odszkodowanie wojenne. Także w kwestyi wydania internowanych rosyjskich okrętów wojennych i ograniczenia rosyjskiej władzy na morzu na Dalekim Wschodzie, Japonia ustąpiła.

Mimo tych ustępstw zasadniczych i tak daleko sięgających, że nawet pełnomocników rosyjskich



Z wojny ros.-jap.: Kozacy chwytają szpiega japońskiego, przebranego za Chińczyka i przebywającego w manzie chińskiej w pobliżu kwatery gen. Liniewicza.

wprawiły one w zdumienie — korzyści, jakie odnosi Japonia z wojny i na podstawie świeżo zawartego pokoju, są olbrzymie i dla państwa wschodzącego słońca wręcz nieocenione. Nie mamy jeszcze dziś i zapewne nie prędko otrzymamy dokładny tekst preliminaryów pokojowych, które dopiero dadzą jasny obraz stanu, wytworzonego przez onegdajszy dziejowy wypadek w Portsmouth — ale to, co nam wiadomo z przebiegu rokowań pokojowych o przyjętych już i zaprotokołowanych przez obie strony punktach ugody, daje nam przybliżone wyobrażenie o doniosłych zyskach Japonii i olbrzymich stratach Rosyi.

Zostawiamy na razie odłogiem kwestyę moralnych strat i zysków, jak one przedstawiają się dla stron obu, japoński wzrost powagi i potęgi nietylko na Dalekim Wschodzie, ale w całym świecie cywilizowanym i politycznym, przy równoczesnym upadku „prestige“ rosyjskiego kolosu, który odsłonił się dzięki japońskim ciosom w całej swej zgniliźnie i słabości. Są to sprawy, które dziś jeszcze nie dadzą się należycie ocenić i które dopiero teraz zaczną w całej pełni oddziaływać na ogólnoświatową konstelacyę polityczną. Zestawiamy jedynie te realne wyniki wojny, które na podstawie już dokonanych układów Japonia zapisuje w bilansie zysków, Rosya w bilansie strat. Streszczają się one w następujących głównych punktach:

1. Uznanie protektoratu Japonii nad Koreą (jeden z głównych punktów spornych, które wywołały wojnę).

2. Opróżnienie Mandżuryi przez Rosyę. Mandżurya przechodzi z powrotem do Chin po wypłaceniu Japonii odpowiedniego odszkodowania. (W ten sposób właściwie kontrybucyę wojenną płacą Chiny, które jednak odzyskują swoją prowincyę).

3. Dzierżawa Portu Artura, Dalnego i półwyspu Kwantuńskiego przechodzi do Japonii (która w ten sposób odzysknje wydarte jej podstępnie owoce zwycięskiej wojny z Chinami z przed lat 10).

4. Japonia otrzymuje z powrotem południową część Sachalinu (która przed r. 1875 była jej własnością).

5. Japonia otrzymuje od Rosyi kolej żelazną od Portu Artura aż po Charbin, stanowiącą nie-



Z wojny rosyjsko-japońskiej: Pałac admiralicyi w Portsmouth.

zmiernie ważną arteryę komunikacyjną, przecinającą najbogatsze i najżyźniejsze okolice Mandżuryi.

6. Japonia otrzymuje prawo rybołowstwa na wybrzeżach syberyjskich.

Tak mniej więcej w pobieżnem streszczeniu przedstawiają się znane dotychczas korzyści, odniesione przez Japonię, które zarazem dają miarę strat, jakiemi Rosya opłaca niefortunną awanturę, wywołaną przez chciwość i głupotę swoich możnowładców.

Te warunki pokoju wywołały w świecie — rozczarowanie. Wprawdzie Rosya została wyparta z Mandżuryi i protektorat nad Koreą przypadł Japonii, ale Japonia musiała się zrzec odszkodowania wojennego i nawet całego Sachalinu nie dostała.

Japonia nie mogła wyzyskać swych zwycięstw. Według zdania publicystów angielskich przy zawarciu pokoju ważną rolę odgrywała u Japończyków jedna rzecz tj. brak pieniędzy. To też najprawdopodobniej, w połączeniu z tem, cośmy poprzednio o ustępstwie Japonii na punkcie kontrybucyi powiedzieli, skłoniło Japonię do ustąpienia z żądania odszkodowania wojennego i przechyliło szalę pokoju na stronę Rosyi.

Japonii brakło do dalszego prowadzenia wojny, pieniędzy. Nie brakło jej ani armii odważnej, ani wodzów znamienitych, ani też nie wygasł w jej mężach zapał do zupełnego pokonania zachłannego wroga, zagrażającego interesom japońskim na Dalekim Wschodzie. Ale to wszystko nie wystarcza do prowadzenia wojny. Brak pieniędzy dawał się Japonii ciągle dotkliwie odczuwać, brak pieniędzy nie pozwolił im też należycie wyzyskać zwycięskiej wojny przy układach pokojowych.

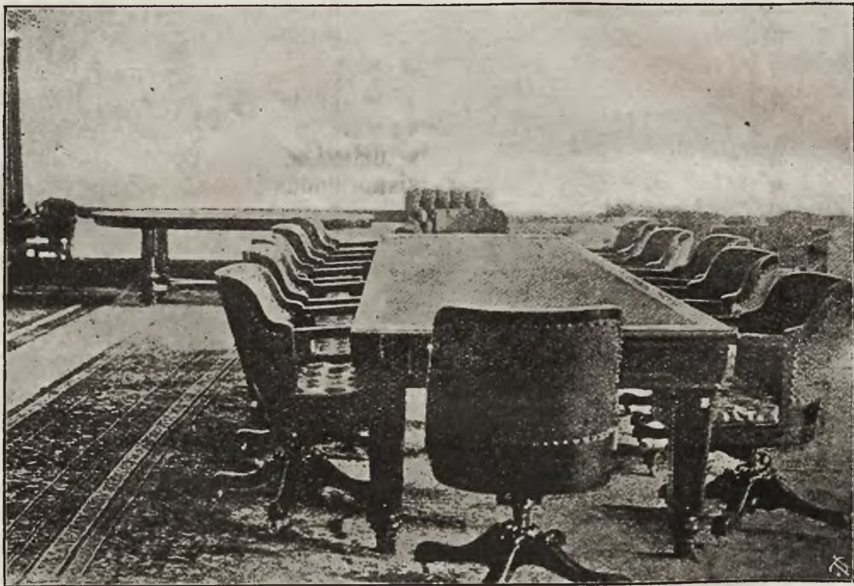
Pomimy to dwa rezultaty wojny nie dadzą się już wymazać z historyi żadnemi dyplomatycznemi sztuczkami.

Przedewszystkiem potęga Rosyi została złamana. Wprawdzie do warunków pokoju nie wpisano punktu o ograniczeniu morskiej potęgi Rosyi na Dalekim Wschodzie, ale torpedy japońskie zapisały to daleko gruntowniej na polu rzeczywistości pod Portem Artura i Cuszimą. Armada rosyjska została zniszczona i na całe dziesięciolecie co najmniej została Rosya pozbawiona floty wojennej. Walkę o Ocean Spokojny Rosya na razie przegrała. I może właśnie dlatego Anglia i Ameryka, zadowolone z ruiny groźnego konkurenta, nie pomogły swemu sojusznikowi do należytego wyzyskania zwycięstwa, bojąc się, by ten sojusznik zanadto nie wyrósł i nie stał się kiedyś groźnym dla ich interesów na Oceanie Spokojnym.

Powtóre wojna rozpętała rewolucyę pod caratem, rewolucyę, do której wszystkie dotychczasowe wypadki były jedynie przygrywką, rewolucyę, której nie powstrzyma już ani zawarcie pokoju, ani nadanie narodowi rosyjskiemu karykatury konstytucyi.

Dla Rosyi wojna ta przyniosła moralne i materyalne bankructwo zasady absolutystycznej, stała się ogniową próbą, przez którą musiał przejść naród rosyjski, jeśli miał się wczas podnieść i wydobyć z tylowiekowego zastoju, z moralnej zgnilizny, w której gnuśniał i marniał. Interes państw europejskich ocalił jeszcze Rosyę carską od zupełnego może upadku, lecz nie ocali on jej od dalszych wewnętrznych przewrotów, nie zagasi płomienia wielkiej rewolucyi. Rewolucya zawrze teraz dopiero, ale już z większą intenzywnością i siłą.

I jeżeli kiedykolwiek wojna jakaś była błogosławieństwem dla ludzkości, to była nią właśnie wojna rosyjsko-japońska, wojna, która wstrząsnęła



Z wojny ros.-jap.: Sala, w której odbywały się konferencye pokojowe w Portsmouth.

podwalinami carskiego despotyzmu, wyzwoliła siły rewolucyjne w państwie rosyjskiem i przybliżyła dzień wolności dla ludów, jęczących pod knutem. W tem tkwi rewolucyjny, cywilizacyjny rezultat wojny rosyjsko-japońskiej.

Wojna w każdym razie skończona.

Na polach mandżurskich przestała płynąć krew. Walka zaciekła, prowadzona przez 19 prawie miesięcy, walka, która olbrzymiemi rozmiarami swymi i liczbami ofiar, jakie pochłonęła, zalicza się do największych i najkrwawszych w dziejach ludzkości, należy już do przeszłości. Zapisze się ona w dziejach jako ogromnie ważny etap, może nawet jako punkt zwrotny w rozwoju ludzkości.

Na wschodzie Azyi powstało nagle nowe mocarstwo, mocarstwo rasy żółtej, którego głos odtąd doniośle rozbrzewać będzie w ogólno-światowej polityce. Bo chociaż pozbawiona części owoców wojny, Japonia będzie odtąd niezmiernie ważnym czynnikiem na arenie politycznej. Nie uzyskała ona wszystkiego, ale zyskała bardzo dużo. Zyskała znaczne rozszerzenie swych granic, dominujący wpływ na stosunki azyatyckie, a przedewszystkiem ogromną moralną powagę i prawo obywatestwa w świecie cywilizowanym. Japonia, drobne ongiś państewko, o którem przed wojną zaledwie świat wiedział, okryła się wiekopomną sławą, a o przyjaźń jej ubiegają się dziś pierwszorzędne światowe potęgi.

Wiadomość o zawarciu pokoju i my Polacy przywitaliśmy z radością, bo i naszej krwi dosyć się przelało na mandżurskich polach, aczkolwiek nie własnowolnie, bo i nas moloch wojny przygniatał srodze,

Wrażenie, jakie zawarcie pokoju wywołało w całym świecie, było olbrzymie i prawie wszędzie jednakie. Nadszedł bowiem nareszcie kres strasznego rozlewu krwi, nadszedł kres wojny, która, jeżeli odrzucimy jej epokowe znaczenie z powodu skutków przez nią wywołanych, była — musimy to przyznać — hańbą XX. wieku. Nasza kultura, nasze zapatrywanie na ludzkość i jej stosunki wojenne, wykluczają wojnę jako barbaryzm, jako zabytek średniowiecznych czasów, tembardziej, że wojna, dzięki warunkom, wśród jakich dzisiaj się odbywa, nie jest walką, ale rzezią, ale mordownią ludzi, którzy częstokroć wroga zupełnie nie widzą, a giną setkami od jego zabójczych pocisków. Ze stanowiska więc ludzkości, z wyżyn dzisiejszej kultury patrząc, musimy każdą wojnę przeklinać. Wojna rosyjsko-japońska, jakeśmy to już zaznaczyli powyżej, miała epokowe skutki już w czasie trwania, to też było przyczyną, że świat zapomniał na chwilę o swojej kulturze i z napięciem śledził jej przebieg. Szlachetna, w całem tego słowa znaczeniu, inicyatywa prezydenta Roosevelta położyła jej kres, a cały świat przyjął to z radością

Ze wszystkich stron otrzymał szlachetny prezydent Stanów Zjednoczonych wyrazy uznania i gorącej podzięki za starania, rozwinięte w sprawie dojścia pokojowych rokowań do skutku. Imię jego przejdzie też, z powodu dojścia do skutku tego pokoju, do historyi. Bo prezydent Roosevelt pierwszy zwrócił się do wrogich rządów z propozycyą zakończenia wojny i zaczęcia układów, podczas rokowań gorliwie pracował nad tem, ażeby obrady uwieńczone zostały pomyślnym skutkiem, tak, że można śmiało powiedzieć, iż pokój rosyjsko-japoński jest jego dziełem. A to już wystarcza, by przejść do historyi.

Illustracye nasze, zamieszczone w dzisiejszym numerze, przedstawiają salę, w której się odbywały konferencye pokojowe, posiedzenie pełnomocników rosyjskich i japońskich, pałac admiralicyi w Portsmouth, tej miejscowości, która, dzięki temu, iż tam doszedł do skutku pokój rosyjsko-japoński, stała się już historyczną, dalej pełnomocników japońskich barona Komurę i Takahirę, jadących w powozie, oraz jedną scenę z ostatnich wydarzeń wojennych na placu boju, mianowicie schwytanie japońskiego szpiega, przebranego za Chińczyka, który zdołał tak zręcznie się ukrywać, że przebywał dłuższy czas kilka kroków od kwatery naczelnego wodza armii rosyjskiej, generała Liniewicza w Gunczulinie.

W Japonii wiadomość o zawarciu pokoju wywołała wielkie niezadowolenie, niezadowolenie powszechne. Nawet ci Japończycy, którzy należeli do orszaku Komury wyrażali się zaraz po ostatniej konferencyi nadzwyczaj pesymistycznie i o warunkach pokojowych i o Komurze. Jeden z nich, jak doniosły telegramy, miał się nawet wyrazić w ten sposób: „Komura powinien popełnić harakiri (t. j. zadać sobie śmierć przez rozprucie brzucha), bo jeżeli tego nie uczyni, to, gdy powróci do Japonii, oburzony lud japoński rozszarpie go w kawałki. To nie pokój, to zawieszenie broni dla Japonii, jaknajbardziej upokarzające“. Wśród ludności japońskiej panuje napozór spokój, ale znać, że wrzenie wśród niej jest ogromne. Zwołana przez mikada nadzwyczajna sesya parlamentu zapowiada się bardzo burzliwie.

Również Sato, jeden z pełnomocników japońskich przy rokowaniach w Portsmuth, który w ostatnich dniach obrad odgrywał ważną rolę, nie był, jak doniosły telegramy zadowolony z pokoju, gdyż zapytany przez jednego z dziennikarzy, co myśli o warunkach pokojowych, odpowiedział krótko: „Otrzymaliśmy rozkaz od mikada. Mikado wie, co czyni i zawsze dobrze uczyni. Naszą rzeczą jest — słuchać“.

W Rosyi ludność powitała wiadomość o zawarciu pokoju z wielkim entuzyazmem. Dodatki pism, donoszące, iż w Portsmuth przyszło do porozumienia, wyrywano sobie z rąk i wznoszono radosne okrzyki. Niezadowolone są z pokoju tylko niektóre sfery dworskie i konserwatyści rosyjscy.

Stronnictwa reakcyjne w Rosyi podnoszą mianowicie ciężkie zarzuty przeciw rządowi, z powodu odstąpienia Japończykom połowy Sachalinu.

Stronnictwa rewolucyjne rosyjskie cieszą się z powodu zawarcia pokoju, który, aczkolwiek na najłagodniejszych dla niej warunkach oparty, w każdym razie jest upokorzeniem Rosyi. Rewolucyoniści liczą na to, że żołnierze, którzy niezadowoleni powrócą z Mandżuryi, staną się przez swe opowiadania o wypadkach na polu wojny i stosunkach, tam panujących, najlepszymi agitatorami idei rewolucyjnej wśród nieogarniętych jeszcze dzisiaj tą ideą szerokich sfer narodu rosyjskiego.

Zdumienie, jakie w pierwszej chwili wszędzie wywołał fakt, że Japonia, chociaż zwyciężyła w ostatniej wojnie, zrzekła się odszkodowania wojennego, zaczęło już w cztery dni po porozumieniu w Portsmouth ustępować. Nadeszły bowiem z dobrych źródeł wiadomości, które wykazują, że Japończycy na podstawie poufnego porozumienia się z Rosyą, odnieśli z pokoju bardzo wielką korzyść finansową, większą nawet, niżby mieli wówczas, gdyby Rosya była zgodziła się zapłacić im odszkodowanie wojenne. Japończycy bowiem, albo otrzymają bardzo znaczne odszkodowanie od Chin, albo zatrzymają w swem posiadaniu Mandżuryę, ten spichlerz Azyi, krainę mlekiem i miodem płynącą. Według brzmienia artykułu 2 traktatu pokojowego, wszystkie trzy mandżurskie prowincye, zajęte przez oba mocarstwa, prowadzące wojnę, mają być opuszczone tak prędko, jak tylko można. Podczas, gdy Rosya natychmiast opróżni swoją część, Japonia za zgodą Rosyi, na podstawie tajnego z nią układu, zażąda dwa, a według innej wersyi trzy milionów yenów za odstąpienie Mandżuryi, tytułem zwrotu kosztów za administracyę.

Gdyby Chiny kwoty tej nie zapłaciły, Japonia będzie Mandżuryę dalej okupowała i administrowała nią, jakby własną prowincyą. Pewnym zaś być można, że Chiny, będące ciągłe w kłopotach finansowych, nie zapłacą Japonii żądanego przez nią odszkodowania, wskutek czego Japonia pozostanie panią Mandżuryi, która dla swych wielkich bogactw więcej jest wartą, niż najwyższe nawet odszkodowanie, któreby Rosya mogła zapłacić.

Jak się więc z tego okazuje, Japonia pomimo to, że zrzekła się odszkodowania wojennego, straty finansowej nie poniesie, gdyż odbije je sobie na innej drodze.



Z wojny ros.-jap.: Japońscy pełnomocnicy pokojowi baron Komura (1) i Takahira (2) w powozie.



Po stronie japońskiej: 1. Adachi. 1. Otchiai. 3. Komura. 4. Takahira. 5. Sato. Po stronie rosyjskiej: 6. Plancon. 7. Nabohoff. 8. Witte. 9. Rosen. 10. Korostowec.
Z wojny ros.-jap.: Posiedzenie japońskich i rosyjskich pełnomocników pokojowych.

KRONIKA LWOWSKA.

(Wesoły początek. — Fałszerze banknotów i ich cel. — Krótkie rozwiązanie. — Jeszcze o zakładzie pogrzebowym. — Pan Kurkowski na czele. — Podwójna uciecha. — Sprowadzenie cholery. — Jak przygotował się Lwów na jej przyjęcie? — Oczekiwanie cholery. — Zaszczyt dla kraju. — Nagrodzona cnota. — Arystokracya modernizuje się. — Demokratyzacya arystokracyi. — Jaśnie oświecona tynglówka. — Hermann i Franziak przerabiają tynglówkę na księżnę po podwyższonych cenach. — Varia. — Facecya o mówiącym psie. — Dama przy sąsiednim stole. — Propozycya sprzedaży. — Tysiąc koron. — Zemsta psa. — Czem był właściciel).

Najbardziej ożywiony sezon pokanikularny rozpoczęliśmy pod każdym względem wesoło.

Naprzód przyaresztowano cały szereg wesołych fałszerzy banknotów pięćdziesięciu, stu i tysiąckoronowych dlatego, że owe banknoty są licho podrobione i dają się łatwo odróżnić od prawdziwych. Rzemiosło to jest tak popłatne, że warto było przyłożyć się do idealnego wykończenia falsyfikatów. Słusznie tedy władze, oburzone tą fuszerką, przyaresztowały winnych, celem przykładnego ich ukarania. Zamknięto nawet wielu porządnych kupców, którzy mieli ustaloną markę solidności. Agenci fabryki banknotów tłómaczą się bardzo jasno. Oni chcieli tylko ułatwić handel tym, którzy z powodu rzadkości prawdziwych banknotów zmuszeni byli ponosić dotkliwe straty. Fałszywe banknoty miały tylko czasowo ułatwić handel, poczem miała je sama fabryka wycofać z obiegu i zastąpić innymi. Że policya zastąpiła fabrykę w wycofaniu falsyfikatów, to już chyba nie jest ich winą i dlatego zasługują na uwolnienie. Właściwym celem fałszerzy było wprowadzić jak największą ilość fałszywych banknotów do kas takich Rotschildów i innych Krezusów, a wyciągnąć stamtąd inne i prawdziwe, leżące odłogiem. I coby to rządowi szkodziło, gdyby taki milioner miał mniej o kilka milionów, które natomiast popłynęłyby w kieszenie mniej zamożnych kupców! Była to zatem akcya humanitarno-społeczna, zasługująca raczej na poparcie i pochwałę. Należy nadto i to uwzględnić, że wielu biedaków podreperowało istotnie swoje stosunki drogą krótką, a prostą, bez pomocy myślicieli i społeczników, tracących czas nad wynalezieniem środków uszczęśliwienia ludzkości nadaremnie.

Drugim wesołym faktem jest zapobieżenie drożyźnie mięsa ze strony magistratu lwowskiego, w sposób oryginalny, a szlachetny. Nie założono jatek gminnych na wzór Wiednia i Krakowa, bo byłoby to małpowaniem, ale natomiast zaproszono, czy zakontraktowano rzeźników kilku dziur okolicznych, ażeby dostarczali mięsa dla Lwowa. Dowiedział się bowiem magistrat, że w miasteczkach prowincyonalnych mięso jest tak podłe, iż ludność tamtejsza kupować go nie chce. Poszła więc wesoła wieść z magistratu, że mięso potaniało o kilka halerzy na kilogramie, że się je sprzedawać będzie na placu Strzeleckim i że w ten sposób magistrat trafnie rozwiązał kwestyę drożyzny mięsa, za co mu obywatele wdzięczni być winni. Inaczej nie można było tej sprawy załatwić, a założenie jatek gminnych mogłby oburzyć wszystkich lwowskich rzeźników, których głosy przy wyborach są więcej warte, aniżeli wszystkie żołądki lwowskich obywateli. Podłe mięso prowincyonalne ma tę dobrą stronę, że go nikt nie kupuje.

Jeszcze lepiej popisał się magistrat ze sprawą miejskiego zakładu pogrzebowego. Ponieważ nooryczną jest rzeczą, że tylko p. Kurkowski ma szczęście do nieboszczyków, którzy chętnie korzystają z jego usług, ufając, że nikt inny tak porządnie nie zaprowadzi ich do nieba, przeto postanowiono odkupić od p. Kurkowskiego na raty jego renomowany zakład pogrzebowy „Concordia", a jego samego zamianować dyrektorem tego zakładu.

Uciecha z tego powodu będzie podwójna: można będzie dać się pochować w miejskim zakładzie pogrzebowym i przejechać się na cmentarz tramwajem p Kurkowskiego.

Ażeby jednak magistrat mógł opłacać grube raty i odsetki potrzeba było pomyśleć o rozszerzeniu klienteli zakładu i w tym celu sprowadzono z Rosyi cholerę azyatycką za pomocą flisaków. Na powitanie cholery przygotował się Lwów. jak na przyjazd szacha perskiego. Wszystkie dzienniki poświęciły jej osobne szpalty, magistrat zawiadamia o jej przybyciu osobnymi afiszami, wskazuje sposób jej przyjęcia i ugoszczenia, protomedyk dr. Merunowicz wyjechał na jej spotkanie do Padwi Narodnej, fizyk miejski, dr. Leszczyński, dwie się iuterwiewować i podaje dokładny termin wjazdu cholery do Lwowa, szynkarze zalecają różne antycholeryczne, ale i antyeleuteryczne specyały, ulice: Serbska, Smocza, Pilnikarska, Wesoła, Smutna, Krzywa, Kalecza, Szpitalna i inne jeszcze lepsze dekorują swoje domy. Colosseum daje galowe przedstawienie na cześć gościa po podwyższonych cenach, Wandmayer zakłada nowy „Dzień", aby Schlesinger miał gdzie drukować sprawozdania z pobytu gościa i szuka już nawet stosownego lokalu na redakcyę, krótko mówiąc: cholera idzie.

Przestaliśmy mówić o wojnie, już nie cieszymy się pokojem, nie zajmujemy się już Dumą rosyjską, a tylko czekamy z drżączką na cholerę.

Co nas jeszcze pociesza, to chyba zaszczyt, jaki spotkał nasz kraj ze strony kancelaryi cesarskiej, przez pozwolenie używania niektórym rodom szlacheckim tytułu „Durchlaucht". Jest to powodem, że pamiętają o nas we Wiedniu, a posłowie nasi nie próżnują. Ten ważny krok naprzód, uszczęśliwiający nietylko obdarzonych tym tytułem arystokratów, ale i wszystkich ich krewnych, przyjaciół i wierzycieli, świadczy wymownie, że cnota nie zostaje nigdy bez nagrody.

Jeszcze bardziej pocieszającym objawem jest, że arystokracya nasza tak bardzo dotąd konserwatywna, modernizuje i demokratyzuje się w ostatnich czasach wcale nie dwuznacznie. Weźmy takiego Augusta hr. Łosia! Gdzie kiedy kto słyszał w Galicyi, by hrabia był defraudantem? Należy to tak rozumieć, że choćby nawet istotnie zdefraudował jakąś sumkę, to nic o tem nie słyszano, bo familia załatała hrabiowską dziurę, ażeby krzykacze nie dowiedzieli się o tem. Dziś postęp i na tem polu widoczny. Oto hrabia popełnił grubszą malwersacyę, a familia nie ma gustu łatać... Hrabia udowodnił, że i dobrze urodzony nie wstydzi się pracować na równi z pospolitym tłumem... Idzie nawet dalej... Nie gardzi rozgłosem uzyskanym przez popełnienie defraudacyi... Temu należało dać przydomek: „Durchlaucht..."

Tak jest, arystokracya demokratyzuje się. Idźcie do Colloseum, a przekonacie się naocznie, albo nawet jeszcze lepiej. Tam, jak głoszą afisze i artykuły w poważnych dziennikach lwowskich, produkuje się obecnie... księżna. Jaśnie oświecona tynglówka ma aż trzy słonie, także arystokratycznego pochodzenia, a dyrektorowie Colloseum zapewniają słowem honoru, że to „takoj całkim prawdziwa księżniczka ze słoniamy". Tylko, że jakiś niepytany o to gość opowiada rozmaite o tej „księżnej" historye, co do wulgarnego jej pochodzenia. Same blagi.. Zresztą najlepszym dowodem jest drukowany program, gdzie wyraźnie „stoi", że to księżna, a w dziennikach tak samo. A dalej kto mógłby w dzisiejszych czasach powszechnej bryndzy, zdobyć się aż na trzy żywe słonie. To samo warto tego tytułu. We Wiedniu ta sama dama nie była jeszcze księżną — zamianowali ją dopiero we Lwowie pp. Herman i Franziak.

W innym tynglu popisuje się znów jakaś baronówna, czy baronowa, a zapowiadają przybycie jakiejś księżnej. Widzimy zatem, że arystokracya defrauduje, tresuje słonie, śpiewa po tynglach, słowem demokratyzuje się...

Zresztą wszystko w porządku. Prezydent Michalski w Szwajcaryi, Cytadela uwikłana w groźny spór dwóch właścicieli, teatr miejski wystawia same premiery (Moloch, Sztygar, Lyzistrata i in.), recenzenci muzyczni ostrzą pióra na nowy sezon operowy, śpiewacy smarują gardła kalafonią, rozśpiewane muzy zlatują się do Lwowa, jakaś kobieta pamiętająca o swoich obowiązkach wobec świata powiła trojaczki, ajent policyjny Günzberg, jeździ po jarmarkach skupywać fałszywe banknoty, pani Julia S. z ulicy Ormiańskiej 17, przerwała swoją praktykę i udała się na 3 miesięczne wakacye do więzienia przy ul. Kazimierzowskiej, a masło w mleczarniach podrożało, wobec czego magistrat doradza wyrabiać masło z końskiego mleka.

Po Lwowie kursują obecnie dwie facecye. Do jednej z restauracyj tutejszych wszedł elegancki pan z dużym psem. Zasiadł do stołu i wskazał swemu czworonożnemu towarzyszowi krzesło. Pies zapytany, coby zjadł, odpowiedział bez wahania:

— Wieprzowa z kapustą, ale chuda...

Siedząca przy drugim stole dama, nie wierzyła własnym uszom. Pies przemówił, jak człowiek. Postanowiła śledzić dalej. Pies załatwił się szybko z mięsem.

— Napijesz się piwa? — zapytał pan.

— I owszem, ale w talerzu niech mi poda, bo ze szklanki nie piję chętnie... Sąsiadka zgłupiała.

Pan wydał odnośne polecenie. Przy płaceniu rachunku pies zauważył:

— Czy pański szef, panie płatniczy nazywa się Brzezicki?

Z kolei kelner zgłupiał. Mimo to przyjął pieniądze i poszedł.

Teraz przystąpiła dama do właściciela psa. Bez wstępu oświadczyła gotowość kupienia mówiącego czworonożnego za każdą cenę.

— I owszem, sprzedałbym go, jeśli tylko on się temu nie sprzeciwi...

— Nie sprzedawaj pan mnie — zawołał pies.

— Boże święty — koniecznie, koniecznie go mieć muszę, żądaj pan, ile chcesz...

— Tysiąc koron — zacenił pan.

Pani odliczyła bez wahania tysiąc koron... Pan schował...

— Jeśli tak — rzekł pies — to odtąd ani słowa nie przemówię nigdy!

Pani nie dała się odstraszyć i zabrała psa ze sobą, prowadząc go na eleganckiej linewce. Właściciel psa tego samego dnia ulotnił się ze Lwowa... Pies dotychczas uporczywie milczy, nie dając się niczem przebłagać. Przyjmuje pokarmy i napoje ale — nie mówi. A jego pan w tej chwili produkuje się w Paryżu, w jednym z tamtejszych teatrzyków, jako doskonały — brzuchomowca.

Są tacy, którzy, opowiadając tę historyjkę, widzą w niej aluzyę do stosunków panujących w lwowskim magistracie. Farsa!

Drugą historyjkę o wiele ciekawszą, bo z państwa Wenery, odkładam z braku miejsca, czasu i chęci do następnego numeru. *Kl.*

Katechizm japońskiej żony.

Każda matka Japonka, wydając swą córkę zamąż, uczy ją następujących przykazań, których jako żona ściśle przestrzegać powinna, jeśli chce sobie zapewnić szczęście małżeńskie.

1. Jeśli wychodzisz zamąż, przestajesz być prawnie moją córką i masz słuchać rodziców męża tak, jak dotychczas rodziców swoich.
2. Skoro wyjdziesz za mąż, to jedynym twym panem jest mąż twój. Bądź skromną i uprzejmą. Ścisłe posłuszeństwo względem męża jest jedną z najpiękniejszych cnót żony.
3. Kochaj zawsze rodziców męża.
4. Nie bądź zazdrosną, bo zazdrością nie zyskasz miłości męża.
5. Nawet, gdy mąż twój nie miał słuszności, to nie wpadaj w gniew, bądź cierpliwą i rozmawiaj z nim dopiero wtedy, gdy mąż się uspokoi.
6. Nie mów dużo, nie mów nic złego o twych bliźnich, nie kłam nigdy!
7. Wstawaj rano, a kładź się spać późno, nie sypiaj po południu. Pij mało wina, a od 15 roku życia nie szukaj liczniejszych zgromadzeń.
8. Nigdy nie pozwól sobie przepowiadać przyszłości.
9. Bądź dobrą gospodynią, bądź oszczędną.
10. Nie wchodź pomiędzy młodych ludzi, choć sama jesteś młodą.
11. Nie noś jasnych sukien, zachowaj się zawsze z godnością.
12. Nie bądź dumna na majątek i stanowisko twego ojca i nie chełp się z tego przed rodziną twego ojca.
13. Obchodź się zawsze dobrze ze swoją służbą.

Ile to byłoby u nas idealnych żon, gdyby teściowe nasze chciały w główki córek swych, wychodzących za mąż, wpoić te piękne zasady, które stałyby się najpiękniejszym posagiem.

Protest.

Sędzia: Więc oskarżony przyznaje się, że jest ojcem dziecka skarżącej!

— Tak, gdy...

— Czy oskarżony chce jeszcze co więcej dodać?

— Nie, nie, dziękuję.

Także pociecha.

Doktór: No jeżeli pan już koniecznie chcesz wiedzieć, dłużej jak do lata ci nie daję!

Chory: Więc już aż tak źle ze mną. No to choć oszczędzę sobie premii od ubezpieczenia na życie płatnej dopiero w jesieni.

Opiekun zwierząt.

— Ile kosztowałoby wynajęcie dla mnie kucyka na godzinę?

— Dwa reńskie proszę pani!

— Ale czy nie będę zbytnio ciężka dla tak małego konika?

— Hm, o tem nie pomyślałem, no to pani jeszcze z 50 centów dołoży.

We własnej sieci.

Współczesna powieść kryminalna.

Z angielskiego przełożył M. S.

15 (Ciąg dalszy).

Starzec umilkł na chwilę i potem westchnąwszy ciężko, mówił dalej:

— Do najzaufańszych przyjaciół pana Harrasa należał stryj pani, Franciszek Springer. Był on młodszym synem bogatego kupca Bernarda Springera i powszechnie mówiono, że podczas, gdy cały majątek ojca odziedziczy starszy syn, Rudolf, Franciszek będzie się musiał zadowolić stanowiskiem prokurzysty firmy Springer. Codziennie prawie Franciszek przychodził do Harrasa i obaj przy zamkniętych drzwiach odbywali tajemnicze konferencye. Że tam o niczem dobrem nie mówiono, o tem byłem przekonany, bo doktora Harrasa znałem już dokładnie, a choć z twarzy jego nic wyczytać nie było można, to jednak po chmurnem obliczu Franciszka poznać było, że gorzkie owoce wydadzą niebawem owe narady. Lecz wówczas nie myślałem jeszcze, że i ja padnę ich ofiarą! Wówczas byłem przekonany, że u doktora Harrasa nie zagrzeję długo miejsca. Na wszystkie strony starałem się o jakąś posadę, ale napróżno! Byłem zaś w ciężkiem położeniu i musiałem brać zaliczki, które mój pryncypał udzielał mi bardzo chętnie, czując, że w ten sposób złapie mnie w swe sidła! Z tygodni robiły się miesiące, z miesięcy lata, a ja wciąż dźwigałem jarzmo doktora Harrasa. Całą moją pociechą była Greta, która w tym czasie wyrosła na cudną ośmnastoletnią dziewczynę. Mimo, że były u nas nieraz braki, że trudno było o grosz, humor i wesołość nigdy jej nie opuszczały. Z piosenką na ustach cały dzień kręciła się po naszej izdebce; witała mnie i żegnała piosenką!... Aż naraz moja ukochana Greta zmieniła się do nie poznania! Straciła rumieńce, ale oczy błyszczały jej jak rozżarzone węgielki, humor opuścił ją, wesołość znikła bezpowrotnie, a z piersi rwały się same tęskne piosenki. Zacząłem badać przyczynę tej zmiany, ale bezskutecznie. Wówczas pewnego wieczoru zapytałem ją tylko z powagą, czy ma do swego ojca zaufanie. A ona rzuciła mi się w objęcia, rączkami objęła za szyję i wyznała, że kocha i jest kochaną, że młody, dzielny człowiek stara się o jej rękę.

— Kto cię kocha? kogo ty kochasz? — spytałem ją z jakąś dziwną obawą.

Odpowiedziała mi bez wahania, ale ta odpowiedź krew ścięła mi w żyłach! O rękę mej córki starał się syn najbogatszego człowieka w naszem mieście: Rudolf Springer....

Przeraziłem się! Bernard Springer znany był w mieście z swej dumy i mogłem być pewny, że raczej wydziedziczy swego syna, niż pozwoli ożenić się mu z córką takiego, jak ja, żebraka, pisarczyka u adwokata Harrasa.

Gniew mnie ogarnął na lekkomyślność Grety, ale nie robiłem jej żadnych wyrzutów. Zażądałem tylko przyrzeczenia, że nie będzie widywać się z Rudolfem, póki ja sam się z nim nie rozmówię. Greta była zawsze posłuszną córką i nie obawiałem się, żeby przekroczyła mój zakaz. Ja zaś jeszcze tego samego wieczora napisałem list do Rudolfa Springera z prośbą, aby zechciał mnie łaskawie odwiedzić. Zrazu myślałem, że otrzymam jakąś wymijającą odpowiedź, ale ku wielkiemu memu zadowoleniu, młody człowiek sam zjawił się w mojem pomieszkaniu i oświadczył, że, jeśli tylko ja nie będę mieć nic przeciwko temu, to on stanowczo ożeni się z Gretą!... Przyznał się też, że prosił Gretę o tajemnicę, ale nie dlatego, żeby chciał ją, lub mnie oszukiwać, tylko dlatego, aby mógł swego ojca przygotować na ten wypadek i uniknąć z nim kłótni, albo zerwania wszystkich stosunków.

Ucieszyła mnie serdecznie ta otwartość i mężkość, która przebijała się w jego słowach i jego postaci, ale nie mniej nie byłem jeszcze o los Grety spokojny. Otwarcie, opierając się na własnem doświadczeniu życiowem, przedstawiłem mu trudności, z jakiemi będzie musiał walczyć i jak przykre mogłoby być dla Grety stanowisko wśród jego rodziny, gdyby ostatecznie udało mu się zamiar swój przeprowadzić do skutku! Rudolf wysłuchał mych przedstawień ze spokojem, a potem oświadczył, że nic nie zdoła go odwieść od raz powziętego zamiaru i że dla swej żony potrafi zdobyć wśród rodziny szacunek...

Rudolf odpowiedział, że nic gorszego nie może go spotkać, jak to, że go ojciec wydziedziczy, lecz oświadczył przytem, że ma niepłonną nadzieję zapoznać mą córkę z swym ojcem, a wówczas wątpi, czy stary Bernard Springer oprze się jej urokowi i czy małżeństwu jego z Gretą będzie się dalej sprzeciwiać. Do dziś dnia pamiętam słowa Rudolfa:

— Gdyby jednak — rzekł do mnie z powagą — doszło do ostateczności, gdyby mój ojciec nie chciał się w żaden sposób zgodzić na to małżeństwo, to ja, Bóg mi świadkiem, zadowolę się drobną częścią spadku, którą mi prawo gwarantuje i będę pracować, jak wół, ale Greta musi być moją!...

A mówił to z takiem przekonaniem, że ja nie miałem odwagi burzyć jego gmachu snów i marzeń, a nawet porwany tym młodzieńczym zapałem, przytakiwałem mu tylko. Pomimo to jednak zażądałem od niego słowa, że póty ani w moim domu, ani na ulicy nie będzie starał zobaczyć się z Gretą, póki ojciec jego nie wypowie ostatniego słowa.

Rudolf uznał słuszność tego żądania, dał mi słowo i dochował go święcie. A jednak kto wie, czy nie byłoby stokroć lepiej dla mnie, dla niego, i dla Grety, gdyby się byli dalej widywali ze sobą!...

Na drugi dzień po tej rozmowie z Rudolfem, koło południa wpadł do naszego biura Franciszek Springer z wielce wzburzoną miną i udał się wprost do prywatnej kancelaryi doktora Harrasa. Odrazu wiedziałem, że musiało się stać coś nadzwyczajnego, bo o tej porze pan Franciszek powinien był pilnować kantoru i magazynów. Drzwi były szczelnie zamknięte, a jednak każdy z nas w przedpokoju słyszał ich podniesione głosy, choć brzmienia słów nie mógł zrozumieć. Jakież jednakże było moje zdziwienie, gdy w progu stanął doktor i zawołał mnie do siebie. Równocześnie zaś słyszałem głos Franciszka:

— Jeśli to przeprowadzisz, jesteśmy uratowani!...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Córy Japonii.

Powieść japońska O. Tokutara.

9 (Ciąg dalszy).

Spoglądali na siebie, lecz długo wytrzymać tego nie mogli. Soszino otarła łzy. Kosziro zamknął oczy. Westchnął. Soszino z przestrachem spojrzała mu w twarz. Pobladła ona, opadła. Kości policzków uwydatniały się. Dwie napół zagojone rany szpeciły twarz ciemno-krwawemi plamami. Włosy Kosziro opadały w nieładzie; jego niegdyś tak żywe oczy spoglądały posępnie; wargi czerwone, drżały z bólu. Wydał się innym człowiekiem. Pragnienie przeszłości obudziło się w sercu Soszino. Chociaż tak zeszpecony, chociaż ma prawo gniewać się na niego, to przecież jednak on.

Słabe wino jest słodsze od herbaty.

Dziewczę uśmiechnęło się. Nawet w chwili największego cierpienia chciała się z nim zobaczyć. Teraz ma go przed sobą. Jak zdradzieckiem jest serce dziewczyny. Motylka, który igra na czerwonym kwiatku, wiatr przenosi na niebieskie i zasypia on na nim.

Soszino, sama nie wiedzieć dlaczego, wstydliwie odwróciła twarz.

Bawiła się rękawem swego Kimono (sukni).

Morizane, spojrzawszy w jej młodą twarz, również się uśmiechnął.

Pieszczotliwym głosem zawołał:

— Soszino!

Wówczas podniosła rękaw tak, iż cień padł na twarz młodego rycerza i odrzekła:

— To ja.

— Soszino — rzekł Morizane — mam do ciebie prośbę.

— Jeśli mogę ją spełnić, powiedz, o co chodzi.

— Rzeczywiście? — łagodnie zapytał Morizane.

Soszino podeszła ku niemu i rzekła:

— Ja również mam prośbę do ciebie; czy ją spełnisz?

— Napewno — odrzekł Kosziro.

— Napewno, Kosziro?

Kosziro szybko odrzekł:

— Rycerz raz tylko daje słowo!

Soszino zarumieniła się i zakryła rękawem oczy.

— Jestem bardzo zadowolona — szepnęła.

Morizane zakaszlał i twarz jego wykrzywiła się bólem.

— Powiedz mi — rzekł — czy patrzysz na mnie, jak na męża? Czy tak?

— Czemu się pytasz?

— Czyż tak jest naprawdę? — zapytał jeszcze.

Soszino głosem drżącym odrzekła:

— Przysięgam na Kami Sama, Hokote Sama, że nie kłamię.

— Jeśli mnie tak kochasz, dlaczegoś przedemną coś ukrywała?

Tego Soszino nie oczekiwała. Zalała się łzami.

— Kosziro, jesteś niesprawiedliwy. Nie chcesz spełnić mej prośby.

Lecz Kosziro ciągnął dalej:

— Nie jestem tchórzem, wysłuchać mogę wszystko. Onegdaj otrzymaś wiadomość od twego ojca.

Soszino przeraziła się; ranny uśmiechnął się: dowiedział się prawdy.

— Powiedz mi, co napisał twój ojciec?

Jak się Kosziro dowiedział o tem? Takeszie przysłał z placu boju wiadomość o zwycięstwie. Dowódca wrogów odebrał sobie życie podczas niespodzianego nocnego natarcia. Starsi oficerowie poszli za jego przykładem. Tchórze poszli do niewoli lub pouciekali. Wieść ta sprawiła radość wszystkim aż do ostatniego sługi. Lecz tryumf ojca Soszino stanowił wielką boleść dla Kosziro. Wiadomość o powrocie ojca nie mogła zasmucić Soszino; lecz myślała o tem, że Kosziro bardzo się zmartwi, gdy się o tem dowie. Matka zadecydowała, iż lepiej ukryć wszystko przed rannym do powrotu Tageszige.

A teraz Morizane zapytał o to.

Soszino odrzekła bezsilnie:

— Tak.

Cóż teraz pocznie? Jeśli mu wszystko powie, złamie rozkaz matki, a on pozbawi się życia. Jeśli zachowa tajemnicę, straci zupełnie jego miłość i umrze z miłości. Umysł jej był wzburzony.

Wreszcie pomyślała:

„Jeśli mu nic nie powiem, to jednak się wszystkiego dowie".

I rzekła:

— Matka kazała ukryć mi to przed tobą, lecz z miłości dla ciebie powiem ci wszystko. Lecz i ty także spełnisz mą prośbę.

— Naturalnie — odrzekł Kosziro.

— Napewno spełnisz? — zapytała Soszino i dodała:

— Nieprzyjaciel zwyciężony; dowódca zginął, ojciec, być może, jutro powróci do domu. Wszystko to powiedziała mi matka.

— Dowódca zginął!

Skoczył z łoża i zadrżał całem ciałem. Zęby mu zgrzytały, oczy gorzały.

Soszino przerażona pochwyciła go za rękę.

— Kosziro, Kosziro!

Lecz młodzieniec odtrącił ją i schwycił za miecz, stojący przy łożu.

— Co robisz? — krzyknęło dziewczę. — Chcesz się zabić?

— Milcz! — odrzekł.

Osłabiony chorobą człowiek nie miał siły odtrącić dziewczyny. Pomiędzy jej białemi rękami a jego chudą pięścią błysnęła klinga, napół wyciągnięta z pochwy. Kosziro z trudnością oddychał. Serce Soszino biło z przestrachu i obawy.

— Ojciec wraca jutro — rzekła z pośpiechem. — Pomów z nim; da ci być może, dobrą radę. A do tego czasu cierpliwości, Kosziro.

Kosziro milczał ze spuszczoną głową; wreszcie rzekł:

— Tak, masz racyę, poczekam, zasięgnę rady u niego.

Soszino odrzekła:

— Tak będzie lepiej.

W tej chwili z sąsiedniego pokoju służąca zawołała:

— Soszino, Soszino!

Dziewczyna przycisnęła miecz do piersi i poprawiła włosy. Ocierając oczy, rzekła:

— Więc cierpliwości, Kosziro. Miecz ten biorę ze sobą. Połóż się, możesz się zaziębić.

On odrzekł:

— Odejdź teraz.

— Do widzenia — rzekła Soszino.

Otworzyła drzwi.

(Dokończenie nastąpi).

Maszyna do szycia.

Obrazek.

Skreślił *k. c.*

(Dokończenie)

II.

Fuksye powiędły, kanarek siedzi w klatce napuszony, maszyna do szycia stoi w kącie bezczynna. Wiatr marcowy miota śniegiem w okno, to znowu nagle zamieć ustaje i na niebie świeci słońce, ale jeszcze nie grzeje.

Na łóżku z drzewa surowego, pod czerwoną kołdrą leży Mania chora. Lekarz obwodowy skończył badanie i pisze właśnie receptę, matka stoi naprzeciw i patrzy w twarz jego z trwogą skazańca, mała Józia przestraszona, usiadła na łóżku i głaszcze wychudłe ręce starej siostry.

Lekarz wydał szczegółowe rozporządzenia, uspokoił chorą wesołem zapewnieniem, że oboje będą tańczyć na majówce i wyszedł. Matka wyprowadzała go z grzeczności, a zarazem dla usłyszenia strasznej może prawdy. W kuchni zatrzymali się.

— Panie konsyliarzu — błagała kobieta przytłumionym głosem. — Leczyłeś mojego męża, widziałeś, jak ciężko mnie Bóg dotknął, wylecz mi to dziecko ukochane...

— Choroba jest groźną — ja zrobię wszystko, co w mojej mocy, a nadto zawezwę do porady jednego z moich kolegów.

Matka rzuciła się do całowania rąk.

— Ależ pani! — zawołał doktor i wybiegł. Na skręcie ulicy spotkał Kazimierza, wziął go pod rękę i pociągnął za sobą. Obaj znali się z owych czasów, gdy na poddaszu dogorywał dyurnista ubogi, a następnie w suterenach ubogi stróż. Silna wola, dobre serce i prostota chłopaka imponowały lekarzowi, który umiał ocenić jego milczące poświęcenie.

— Wracam od naszej chorej — odezwał się doktor.

— Powiedz pan prawdę, czy jest nadzieja? — zapytał Kazimierz.

Lekarz milczał.

— Więc niema? znowu niema? — powtarzał chłopak rozpaczliwym szeptem.

Przechodzili koło sklepowej bramy. Zatrzymali się w zagłębieniu i stanęli naprzeciw siebie.

— Nadzieja zawsze jest wbrew eskulapom całego świata — mówił doktór. — Panu powiem prawdę, bo przecież musi być w domu ktoś, coby...

Nie wiedział, jak wyrazić swoją wątpliwość, więc umilknął.

— Dyagnoza bardzo prosta — zaczął po chwili. — Wątły organizm ugiął się pod ciężarem pracy nadmiernej przy odżywianiu zbyt skromnem. Dziewczyna, lekko ubrana zaziębiała się przez całą jesień i zimę systematycznie i na domiar złego ukrywała chorobę do ostatniego momentu. W takich warunkach są nieuniknione suchoty. Obok tego, skutkiem silnych wstrząśnień moralnych, wywiązała się nerwowość, że już pominę mniej ważne objawy patologiczne. Apteka niema na to lekarstwa. Obecnie zalecam zupełny spokój umysłu i ciała i jak najtroskliwsze pielęgnowanie, na wiosnę kąpiele, a następnie dłuższy pobyt w jakiemś klimatycznem uzdrowisku.

Kazimierz rzucił na lekarza pytające spojrzenie. Czyż to nie wyrok śmierci na ludzi, którym często brakuje powszedniego chleba?

— We dwójkę zaradzimy wszystkiemu — rzekł doktór. — Do widzenia.

Pożegnali się. Przez drogę usiłował Kazimierz pokonać smutek, wiedział bowiem, że chorzy mają wzrok podejrzliwy. W kuchni zdjął płaszcz i ogrzał się nieco, poczem dopiero wszedł do pokoju.

— Przyszedłeś? Czekałam na ciebie — zawołała Mania.

W ostatnich dniach energiczna dziewczyna pod wpływem choroby i osłabienia stała się dziecinnie pieszczotliwą i czułą. Chciała mieć koło siebie tylko swoich a wyraz „pan“ brzmiał obco i niemile dla niej. Pierwsza powiedziała Kazimierzowi „ty“ i po raz pierwszy, pod osłoną zmroku, wyznali oboje, że się kochają.

— Kaziu drogi — mówiła wówczas dziewczę — jeżelim tak długo milczała, to nie z obojętności, o nie, tylko dlatego, żem taka biedna, taka biedna...

I on milczał długo, milczał z tego samego powodu. Posiadali dumę ubogich ludzi.

Kazimierz przystąpił do łóżka i wziął w swoje silne dłonie dwie małe, wychudłe rączki.

— A czy Mania była grzeczna? — zapytał tajemniczo.

— Mania zawsze grzeczna — odrzekła chora.

Kazimierz wyjął z jednej kieszeni surduta pomarańczę, a z drugiej humorystyczny jakiś noworocznik.

— Pomarańczę zjemy do spółki — rozkazała chora. — Mama niech ją obierze. Dla Józi zostawimy także.

Kazimierz usiadł na stołku obok łóżka. Matka obrała pomarańczę i podała na wyszczerbionym spodku. Wszyscy musieli zjeść po kawałku.

— Julka od Dymowej obiecała, że przyjdzie do mnie i wyczyści maszynę a tymczasem zapomniała, albo się boi — mruknęła chora.

— Możebym ja potrafił? — zapytał Kazimierz.

Manię ucieszyło to niezmiernie. Kazała maszynę przysunąć do łóżka i z wielkim zajęciem kierowała robotą.

— Wyjmij igłę — mówiła do Kazia — a teraz odsuń zasówkę, tak, a teraz wyjmij czółenko...

Wszystko szło jak z płatka, ale w połowie dzieła chora usnęła. Kazimierz przy pomocy matki wyczyścił i złożył napowrót maszynę, poczem oboje usiedli na starej sofce o zbutwiałych nogach.

— Moja wina — szeptała strapiona kobieta. — Biedactwo zapracowało się, a ja na to pozwoliłam. Przez dwa miesiące zarobiła u Dymowej kilkadziesiąt reńskich, prócz tego dostała od hrabiny osobno dziesiątkę za sumienne wykonanie haftów. Drugiej takiej hafciarki z pewnością niema. Kupiła maszynę do szycia i połowę ceny zapłaciła zaraz, a połowę tygodniowemi ratami. Długi zapłaciła wszystkie co do centa, gospodarzowi za czynsz, piekarzowi, grajzlerowi. Roboty miała co raz więcej. Cały dzień szyła na maszynie, a w nocy haftowała, ażeby mnie turkot maszyny nie zbudził. Ja chciałam jej pomagać, ale raz w nocy, gdy ona myślała, że śpię, widziałam, jak ona pruła moją robotę i na nowo szyła. Ja już nie widzę i ręce mi się trzęsą i w oczach wszystko mieni...

Ciche łkanie przerwało jej mowę.

— Przyszła jesień, a pan wie, jaka była słotna — zaczęła mówić, uspokoiwszy się. — Józia nie mogła iść do szkoły, bo nie miała sukienki. Po tygodniu dostałyśmy upomnienie, że jeżeli Józia nie przyjdzie do szkoły, to zapłacimy karę. Właśnie zarobiła Mania kilkanaście reńskich. Uszyła dla Józi płaszczyk i zimową sukienkę, a dla mnie futrzane kamaszki. Sama chodziła w kaftaniku przez całą jesień i zimę, w największe mrozy.

Chora poruszyła się i zaczęła wymawiać niezrozumiałe jakieś wyrazy. Ku wieczorowi gorączka wzmagała się zawsze. Kazimierz chciał powstać, ale matka dała mu znak, ażeby siedział. Chora nie obudziła się.

— W zimie — opowiadała matka dalej — życie o wiele droższe, niż w lecie, a w dodatku podwyższył nam gospodarz czynsz od nowego roku. Dziewczyna pracowała bez wytchnienia i jeszcze wyrzucała sobie lenistwo. Mizerniała coraz więcej, kaszlała i nic już nie mogła jeść, a tylko wodę ciągle piła, bo już wtedy miała gorączkę. Potem zaczęła krwią pluć, ale taiła wszystko przedemną aż do ostatniej chwili i nigdy się nie poskarżyła ani jednem słówkiem. Biedne moje dziecko...

Stara, zgięta w kabłąk, ocierała fartuszkiem łzy, Kazimierz milczał, chociaż w sercu miał morze boleści.

Chora poruszyła się znowu; niezrozumiałe jakieś wymawiała wyrazy. Wreszcie obudziła się. Długie spojrzenie gorączką płonących źrenic rzuciła na Kazimierza i uśmiech bolesny okrasił jej usta. Kazimierz przybiegł do łóżka i usiadł obok na stołku.

— Mania chora — szeptało dziewczę pieszczotliwie — bardzo chora, więc zamiast bawić gościa, usnęła.

Chudą rączką poprawiała kaftanik na szyi.

— A maszyna? — zapytała nagle. — Co z maszyną?

— Oczyszczona i złożona — odpowiedział Kazimierz.

Podziękowała mu wymownem spojrzeniem.

Wczesny zmrok począł szybko zapadać. Matka wyszła do kuchni, ażeby przygotować potrawkę dla chorej, Kazimierz tymczasem zapalił lampę i opowiadał nowiny miejskie. Józia wróciła ze szkoły i przyniosła tak pożądaną wesołość i naiwna nieświadomość groźnego niebezpieczeństwa. Mania ożywiła się i z apetytem jadła potrawkę, zapraszając do niej wszystkich po kolei.

O godzinie szóstej miał Kazimierz lekcyę. U adwokata nie był popołudniu, ale tej lekcyi nie mógł opuścić.

— Idź, idź — nagliła Mania. — Nam nie wolno pieścić się.

Kazimierz pożegnał chorą i wyszedł, pierwej musiał jednakże przyrzec, że na przyszłość nie przyniesie nigdy ani pomarańczy, ani ciastek, nic, chyba książkę.

Lekcyę odbył sumiennie i dopiero, gdy wrócił do swego pokoiku, miał czas pomyśleć nad położeniem.

— Kąpiele i pobyt na świeżem powietrzu przywrócą jej zdrowie — rozważał w duchu. — Pracowała na wszystkich, tylko nie na siebie, niechże teraz inni na nią trochę popracują. Doktór mówił, że we dwójkę podołamy wszystkiemu, otóż podołamy sami. Trzydzieści guldenów pożyczę w „Bratniej pomocy“, drugie trzydzieści u mecenasa, jako ćwierćroczną zaliczkę, razem sześćdziesiąt — zostaje zegarek, płaszcz, zimowe ubranie. Wiosna za pasem. Kolej musi dać zniżoną cenę jazdy a w zakładzie kąpielowym także coś uzyskamy.
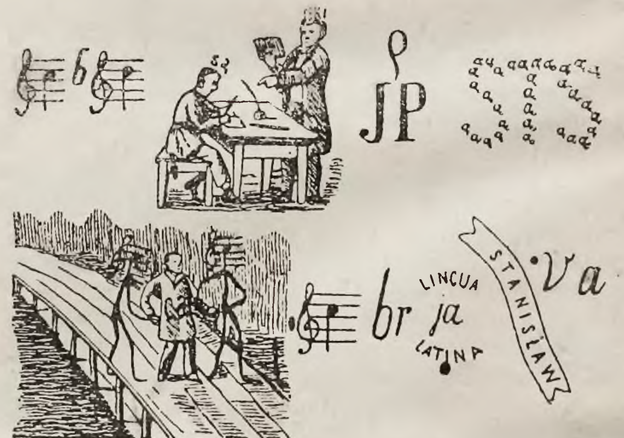
Stało się, jak pomyślał. Pewnego poranku na wiosnę dyrekcya kolei przysłała bilety o zniżonej cenie, a zarządca zakładu zdrojowego odpowiedział, że ma dla chorej bezpłatne miejsce.

Ale Mania dawno już leżała w grobie...

KONIEC.

Zagadki do nagrody.

Rebus.



Arytmogryf.

W niżej oznaczonych kombinacyach zamiast liczb wstawśe litery tak, aby w utworzonych 19 wyrazach środkowe litery, czytane z góry na dół, stanowiły imię i nazwisko bohaterki powieści historycznej Sienkiewicza.

16
21 **4** 7
3 **21** 8
16 24 **20** 5 17
6 5 17 5 **6** 19 8 3 7
15 16 4 1 14 **5** 24 20 16 11 2
8 1 25 12 5 13 **3** 5 13 19 25 6 1
5 20 19 16 20 **1** 21 26 1 25 10
4 19 14 16 **4** 18 1 20 5
26 1 11 **4** 1 25 5
18 **21** 20
23 5 **26** 1 5
4 **1** 26
17 5 **25** 7 17
3 **10** 7
15 **22** 14
12 13 16 **26** 6 25 10
15 10 7 8 15 **20** 16 26 1 25 10
3 5 9 6 5 15 **5** 3 5 15 16 26 5

Znaczenie wyrazów:

1. Samogłoska.
2. Pseudonim poety polskiego.
3. Jenerał polski.
4. Ubiór kościelny kapłana.
5. Cmentarze podziemne.
6. Zgodność w postępowaniu.
7. Pisarz polski.
8. Kaznodzieja z połowy XIX wieku.
9. Liczba wyobrażająca stosunek koła do średnicy.
10. Miasto w gubernii kieleckiej.
11. Wiatr wiejący w Szwajcaryi.
12. Miasto we Włoszech.
13. Osada w gubernii siedleckiej.
14. Dziejopisarz rzymski.
15. Kwiaty.
16. Pierwiastek chemiczny.
17. Ryba.
18. Poeta polski.
19. Utwór Sienkiewicza.

Rozwiązania z Nru 35.

Rebus: Gdy zbrodnia bezkarnie broić zamyśla, pokrywa się maską cnoty.

Szarady: I. Celina. – II. Kanowa. III. Rewerenda.

Łamigłówka: Jan Sobieski.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: B. Ramułtowa Jeżów, K. Fuchs Peczeniżyn, Wł. Hałdziński Lichwin, A. St. Bassara Niwiska, L. Rogalski Mikulińce, K. Chodkiewicz Zbydniów, H. Mokrzycka Turbia, J. Badura Rożdzień, M. Opolska Czarny Dunajec, M. Cetera Dubiecko, T. Domain Sanok, H. Zielińska Manajów, L. Rączkowski Gorlice.

Nagrodę pezez losowanie otrzymał p. L. Rączkowski w Gorlicach. Prosimy o nadesłanie 50 halerzy na koszta przesyłki.

Nowości w bluzach, halkach i bieliźnie

M. Beyer i Spółka
Kraków
Sukiennice l. 12, 13, 14

Pierwszy Galic. Zoologiczny Zakład „Ornis“



Właściciel: A. MUSIOŁEK założony w roku 1897.
Sklep: Kraków, ul. Sławkowska 16.
Hodowla i skład zwierząt: Zwierzyniec „Willa Wisła“. Menażerya i własny park zwierząt w „Parku Krakowskim“ poleca się nadal Szan. PT. Publ. Cenniki bezpłatnie za nadesł. 5 hal. marki. Młode Bernhardy od 20 zł. Foxterriery, Jamniki, różne rasowe kury, angora koty, kolibry, papugi, harceńskie kanarki, złote rybki, oswojone małpki i t. d. – Bardzo tanio wypycha się ptaki i zwierzęta.
Uwaga: Okł · 20 to letnie praktyczne doświadczenia, jakoteż dokładna znajomość fachowa, nabyta w kraju i zagranicą, dają mi możność uskutecznienia starannego, wszelkich poleceń w zakres hodowli i sprzedaży zwierząt wchodzących, po najniższych cenach jak dotąd tak i nadal.



URZĄDZAM
Dzwonki elektryczne i telefony
z gwarancyą roczną
po bardzo niskiej cenie
pracownia mechaniczna
Stanisława Leśniakowskiego
ul. Grodzka l. 48, obok kościoła św. Piotra.

INSTALACYE i BLACHARSTWO
wodociągi, ogrzewania, gazowe oświetlenia
wykonuje fachowo, praktycznie i tanio, konc. firma:
Julian Tokar, Kraków, św. Jana 10 (Grand Hotel)

„Merkury“ GAZETA LOSOWAŃ I HANDLOWA
Adres: Administracya „Merkurego“ w Krakowie, Rynek gł. l. 5.
Dokładne wykazy ciągnień, popularny dział handlowy.
Prenumerata całoroczna 3 kor. 60 hal.
Bezpłatne dodatki.
Rocznik finansowy i kalendarzyk bankowy.

Darmo i opłatnie otrzyma każdy mój bogato illustrowany cennik
Instrumentów muzycznych
oraz różnych
ZABAWEK
A. Scheuer, Kraków
ulica Grodzka l. 59/6. 7-52

BIURO
NAUCZYCIELSKIE
Stefanii Łapszów
z Trembeckich Zwilling
Kraków, ul. św. Jana l. 2
róg Rynku Głównego
poleca:
Nauczycielki, Guwernantki, Nauczycieli, Guwernerów oraz Wychowawczynie i Bony różnej narodowości.

Jak **ZA DARMO**
zegarek nikl. z napisem system Roskopf Patent z pięknym łańcuszkiem złr. 1·70, zegarek stalowy złr. 2·–, zegarek srebrny system Roskopf Patent złr. 4·–, zegarek złocisty system Roskopf Patent złr. ·50. Budzik świecący w nocy złr. 1·50. Zegarek złoty złr. 9·–. Łańcuszki srebrne od złr. 1·–. Gwarancya 4-letnia. Wrazie niespodobania się, wymieniam bez trudnośai na inny przedmiot. Zamówienia z prowincyi uskuteczniam odwrotną pocztą.
S. Zahn, Kraków, Floryańska 31.
Dostawca związku ck. urzędnik. państwow.

Rządowo uprawniona
FABRYKA WÓD MINERALNYCH SZTUCZ.
i specyalnych leczniczych, pod firmą
K. RZĄCA I CHMURSKI
w Krakowie, przy ulicy św. Gertrudy l. 4, Telefon 227.
Wyrabia pod kontrolą komisyi Przemysłowej Tow. Lek. krak. polecone przez toż Towarzystwo Wody Mineralne, odpowiadające składem chemicznym wodom: Bilińskiej, Gieshueblerskiej, Selterskiej, Vichy, Maryenbadzkiej, Homburg, Kissingen, tudzież specyalne lecznicze, jak: litową, bromową, jodową, żelazistą, kwaśną oraz wody mineralne normalne z przepisu prof. Jaworskiego. — Sprzedaż cząstkowa w aptekach i drogueryach. Cenniki na żądanie franco.

Spłaty częściowe!
dozwolone za poprzedniem ustnem lub listownem porozumieniem się.
Bezsprzecznie największy wybór!
Renomowana i powszechnie znana firma
Dom towarowy „AU LOUVRE“
we Lwowie, ul. Sykstuska l. 6 (Pasaż Hausmana)
poleca swój obfity i bogato zaopatrzony skład wszelkich możliwych gatunków dywanów (także kościelnych i przed ołtarze) dywaników, portyer, firanek, chodników, kap na stoły i łóżka, cerat, linoleum, kołder, koców, der na konie oraz wszystkich innych przedmiotów dekoracyjnych po nader niskich cenach konkurencyjnych.
Za nadesłaniem nam marki pocztowej za 10 h. wysyłamy nasze bogato illustrowane cenniki, w których są opisane także towary lniane i bawełniane, bielizna męska i damska szyfony, płótna, bielizna stołowa i inne ważne artykuły, w zakres domowego gospodarstwa wchodzące. Zlecenia z prowincyi załatwia się odwrotnie.
By ujść pomyłkom, prosimy na nasz adres dokładnie zważać.
Z poważaniem Zarząd firmy:
Dom towarowy „Au Louvre“
Lwów, Sykstuska 6.

UNIWERSALNY
ORGAN INFORMACYJNY
„Informator“
Kraków, ul. Szpitalna 34
poleca:
Wykazy wolnych posad i zajęć.
Wykazy majątków ziemsk. i realności celem sprzedaży kupna i dzierżawy.
Wykazy wolnych mieszkań i lokali do wynajęcia, tudzież
Wykazy letnich mieszkań.
Prenumerata wynosi: rocznie 12 K. półr. 6 K, kwart. 3 K. Pojedynczy numer 50 hal.
Zgłoszenia wolnych posad i zajęć przyjmuje redakcya bezpłatnie i z wdzięcznością.

Aparaty fotograficzne, zawsze świeże klisze, papiery oraz wszelkie inne przybory fotograficzne poleca po cenach nader niskich
Niemetz i Sp.
w Krakowie,
Szewska l. 2 pierwszy dom od rynku.



Kolibry . . . od 1–2 złr.
Papużki małe od 1·50–3 „
Papużki średnie od 4·50–7 „
Papugi duże . od 10–25 „
Papugi duże mówiące od 28 „
Kanarki herceńskie od 6 „
Rasowe psy
u K. Waltera L. 31
ulica Sławkowska
przy plantach w Krakowie.



Wdowa

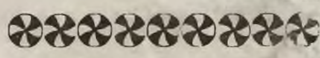
po Leonie Wieczorkowskim zawiadamia Szanowną P. T. Publiczność, iż będzie nadal prowadziła pracownię tapicerską wraz z synem,
ul. Mikołajska l. 16
N. WIECZORKOWSKA.



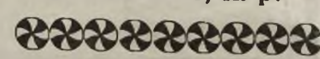
Lodownie pokojowe, Lodownice amerykańskie, Formy na lody, Siatki druciane od much, Żelazka do prasow. na spirytus
poleca
Tom. Górecki, Kraków.

Niema więcej cierpień rupturowych
dokładne i szczególne objaśnienia
(za nadesłaniem zwrotnej marki pocztowej)
przesyła bandażysta: **S. Mittelmann**
Czerniowce (Bukowina), ul. Pańska 19.

Kamienica piątrowa
na Grzegórzkach, z ogrodem, w którym wiele drzew owocowych — do sprzedania z wolnej ręki. – Bliższych wiadomości udzieli właściciel Jan Woźnicka, Grzegórzki 57.



Na żądanie wysyłam **wielki CENNIK illustrow. zegarów,** wyrobów jubilerskich z chińskiego srebra i t. p.
F. Pamm, Kraków
ul. Zielona 3, II. p:



Zbiór archeologiczny
(z czasów przedhistorycznych)
do nabycia:
35 sztuk urn popielnicowych zwanych, ozdoby bronzowe oraz żelazne w ilości 20 sztuk, narzędzia krzemienne jak: okrzeski (noże), groty do strzał, igły, szydła oraz przedmioty służące do niewiadomego użytku. Informacyi udziela właściciel zbioru
Alfred Dworski w Rudniku.

CUKIERINA
Kazimierz Sotschek
LWÓW
poleca się P. T. Publiczności.
Bufet w teatrze miejskim.
Wszelkie zamówienia wykonuje odwrotną pocztą.

Posiadacze losów
mogą u nas dostać za nie pełny kurs dzienny i na życzenie te same losy (tj. te same numera) grając na nie bez przerwy, nabyć na dogodne spłaty miesięczne. Losy gdziekolw. zastawione, wykupujemy i przeprowadzamy powyższą transakcyę.
Polecamy uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów bankowych. Kupno i sprzedaż obligacyj, losów i monet. — Ajentów żadnych nie wysyłamy. — Kalendarzyk bankowy bezpłatnie.
Schütz i Chajes, Dom bankowy
we Lwowie, plac Maryacki 7.

Odpowiedzialny redaktor: Wiktor Nimhin. Wydawca i właściciel: Stanisław Lipiński. Z drukarni Władysława Teodorczuka w Krakowie, ul. Zielona 7.
Klisze z zakładu T. Jabłońskiego i Ski w Krakowie.